Dziś w numerze: Madame Monton lubi słońce • Co to jest happening? • Nad Pilicą • Zaproszenie • Ucieczka przed końcem świata • Wiersze • Recenzje • Felietony • Polonica

odgłosu

Nr 27 (389)
10. VII. 1966 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX

ANDRZEJ MAKOWIECKI

OPOLE PO RAZ CZWARTY

Kilkudziesięciu wykonawców, stu kilkunastu dziennikarzy, dziesięć orkiestr od symfonii do big-beatu, ciężkie zastępy jurorów, honorowych gości, falangi młodych z wszelkich krańców świata, parę kilometrów świetlnych girland podniesionych do kwadratu w lustrze rzeki, grad piłeczek ping-pongowych z samolotu, który spełniał rolę toto-lotka, morze barw, potoki flag, tysiące transparentów, ulotki, foldery, przewodniki, magazyny, histeryczny wrzask reklamy, sznur samochodów lansowanych przez piosenkę i rozepchane niebezpiecznie miasto...

Oj, nawiało tego roku nieszczęść na Opole. Najprzód czarna seria Festiwalu: pan Jerzy Masłowski, scenograf z Łodzi, skaleczył dotkliwie nóżkę, Jan Zalewski z Biura Festiwalu grzmotnął błotnikiem w bramę rozgłośni radiowej, zaś pani Anna Fillerowa zmuszona była wyrwać ząbek, bo ją bolał. Czarna seria dotknęła także festiwalowe druki. W jednym z nich nazwisko przewodniczącego Prezydium MRN zostało przekręcone do góry nogami i nakład trzeba było unieważnić, zaś w rozszerzonym programie koncertów pojawił się nowy zespół: „Trubodurzy".

Ale prawdziwe nieszczęście przyszło dopiero we wtorek: opolska „Odra" pożegnała pierwszą ligę przy akompaniamencie gwizdów i ostrych wymyślań.

„W klipę grać!"

„Kanarki doić!"

„Witaj trzecia ligo!"

Tego i jeszcze bardziej sprośnego typu napisy widniały na wielu słupach reklamowych, na nekrologach czyli zwiastunach ostatniego meczu Odry z ŁKS. Potem zaczęła się stypa. Zaprawiona łzami i podlana alkoholem. Podsycana smętnym głosem prasy.

Następnego dnia, 23 czerwca br. stypa została przerwana. Brutalnie. Festiwal trzepnął w miasto jak maczuga w głowę, i zaczęła się narkoza. Znowu było wesoło, radośnie, gwarno i pogodnie. Czterodniowe opium rozpoczęło działanie...

— OCH, TY W ŻYCIU —

śpiewał Wojtek Młynarski, na maratonie kabaretowym w ową pierwszą, opiumowaną noc.

W ogóle powiedzieć trzeba, że prolog Festiwalu upłynął pod znakiem kabaretów, gdyż sam koncert milenijny, otwierający imprezę, był zdarzeniem ze wszech miar nudnawym, mimo znakomitej obsady — bo to i Ładysz, Ochman, Jamroz, i Kydryński, Prus, Warska, Kurylewicz i Piwkowski and his „Fistulatores et tubicinatores Varsovienses", i jeszcze paru innych, jak Rachoń czy Kajdasz. Wprowadzenie na deski festiwalowej estrady basów, tenorów i sopranu, zespołu instrumentów dawnych i chórów — było chyba małym nieporozumieniem. Wszystko to bardzo piękne, ale w Filharmonii, gdzie i akustyka odpowiednia i ludzie stosownie nastrojeni.

Tak więc prawdziwy turniej piosenki rozpoczął się dopiero w późnych godzinach wieczorowych pod hasłem Kabaretowego Maratonu. Dwudziestu wykonawców, ponad trzydzieści utworów, dwie świetne orkiestry Senta i Radzika i widownia pękająca od nadmiaru koneserów. Akcentem dramatycznym tej imprezy był pasjonujący pojedynek Tadeusza Chyły z

Dalszy ciąg na str. 8

Fot. W. Parys.

ZOFIA TARNOWSKA

Szlachetne zdrowie...

Obejmuje opieką 750 tys. osób: niemowlęta, dzieci, młodzież, dorosłych i starców. Dysponuje 30 tysięcznym zespołem pracowników. Stanowi jedną z najpoważniejszych i złożonych instytucji. Odpowiada za stan zdrowia całego miasta. Łódzka służba zdrowia w ciągu 20 lat przeszła szereg form organizacyjnych, kształtując swą strukturę najbardziej odpowiednio do wykonywania trudnych zadań profilaktyczno-leczniczych. W tym aspekcie dokonujemy przeglądu dorobku lecznictwa łódzkiego.

Potrzeby mieszkańców Łodzi w zakresie usług służby zdrowia, stale rosły, i nadal rosną. W ciągu ponad 20 lat liczba lekarzy zatrudnionych w społecznych zakładach służby zdrowia wzrosła czterokrotnie, ilość łóżek szpitalnych i przychodni podwoiła się. Znacznej poprawie uległo wyposażenie zakładów służby zdrowia w kosztowną, nowoczesną, precyzyjną aparaturę diagnostyczną i leczniczą.

W 1938 r. było w Łodzi 338 lekarzy, 132 dentystów, 138 farmaceutów i 374 pielęgniarki. Obecnie jest: 2.100 lekarzy, 571 lekarzy-dentystów, 551 farmaceutów i 3.316 pielęgniarek. 15 szpitali dysponowało przed wojną 3.152 łóżkami. Obecnie 21 szpitali posiada w sumie 6.547 łóżek.

Wzrost ilościowy kadr, ich wyspecjalizowanie, wzrost bazy materialnej, pozwoliły na przeprowadzenie szeregu zmian organizacyjnych, których celem było podniesienie stanu zdrowotnego mieszkańców Łodzi. Należy wymienić: — wprowadzenie rejonizacji w lecznictwie otwartym podstawowym i szpitalnym, rozbudowę sieci poradni dla dzieci, rozszerzenie działalności profilaktycznej poprzez szczepienia i rozbudowę przemysłowej służby zdrowia.

Efekty zmian organizacyjnych są znaczne. Wszyscy lekarze przychodni rejonowych mają wyznaczone rejony, którymi się opiekują i ponoszą odpowiedzialność za stan zdrowotny ludności zamieszkującej powierzony im teren. W szpitalnictwie oddziały: chorób wewnętrznych, pediatrii, chirurgii, ginekologii i położnictwa, chorób układu nerwowego i ftyzjatrii mają wyznaczone tereny, których mieszkańcom są zobowiązane w razie potrzeby zapewnić opiekę szpitalną. W przypadkach pilnych i ciężkich zobowiązane są przyjąć swego podopiecznego bezzwłocznie, w wypadkach chorób przewlekłych (lecz wymagających leczenia szpitalnego) — w ustalonym terminie. W ten sposób nie istnieje odmowa przyjęcia do szpitala z powodu braku miejsca.

Poważne efekty uzyskano w opiece nad najmłodszymi: sieć poradni dziecięcych zapewnia im ochronę zdrowia od chwili urodzenia. W ostatnich 10 latach ilość zgonów niemowląt w pierwszym roku życia zmniejszyła się niemal do połowy (z 73,7 w 1955 r. do 44,2 na 1000 żywo urodzonych w 1964 r.). Masowość szczepień ochronnych spowodowała zmniejszenie się zachorowalności na ostre choroby zakaźne, zwłaszcza wśród dzieci. Od 3 lat nie zanotowano w Łodzi ani jednego przypadku choroby Heinego-Medina.

PRZEMYSŁOWE I OTWARTE

Dzisiejsze wymagania w zakresie opieki zdrowotnej nad ludnością są jednak bardziej złożone i różnorodne, zwłaszcza w Łodzi, ze względu na specyfikę przemysłową miasta. Czy wobec tego aktualny stan posiadania i organizacja lecznictwa jest w stanie im sprostać? W Łodzi wydzielono piony

Dalszy ciąg na str. 3

Z ŚWIATA

Z 12 dni, które spędził prez. de Gaulle w Związku Radzieckim, 9 godzin trwały rozmowy polityczne. Poza tym generał przebywał prawie 15 godzin sam na sam z prem. Kosyginem i 2 godziny z Breżniewem, Podgornym i Kosyginem. 5 mln obywateli radzieckich widziało osobiście de Gaulle'a, 50 mln — oglądało go w telewizji. De Gaulle w podróży, której trasa wynosiła 14 tys. km, wygłosił 20 przemówień.

Tak bilansuje w liczbach pobyt szefa państwa francuskiego w ZSRR francuska agencja — AFP. Oczywiście, znacznie istotniejszy od powyższej statystyki jest bilans polityczny wizyty.

Zacznijmy od wspólnych radziecko-francuskich ustaleń. A więc: „w celu pogłębienia wzajemnego zaufania i rozszerzenia dziedzin porozumienia i współpracy" postanowiono regularnie prowadzić konsultacje, uzgodniono także zainstalowanie linii bezpośredniej łączności między Kremlem a Pałacem Elizejskim, podpisano porozumienie o badaniu i opanowaniu przestrzeni kosmicznej w celach pokojowych. Przywódcy radzieccy: Breżniew, Kosygin i Podgorny zaproszeni zostali do złożenia oficjalnej wizyty we Francji.

Wymienione powyżej uzgodnienia, których znaczenia nie trzeba przecież udowadniać, daleko jednak nie wyczerpują treści wizyty.

Wspólna deklaracja stwierdza wyraźnie:

„Rozmowy, które upłynęły w atmosferze wielkiej serdeczności, odpowiadającej stosunkom przyjaźni i historycznym więzom, istniejącym między obu krajami, dały możność dokonania pożytecznej i wnikliwej wymiany poglądów na temat doniosłych problemów polityki międzynarodowej oraz stosunków radziecko-francuskich".

Jakie to „doniosłe problemy polityki międzynarodowej" omawiano w Moskwie?

Głównie: bezpieczeństwo europejskie, stwierdzające, że „problemy Europy powinny być rozważone przede wszystkim w ramach europejskich"; sytuację w Wietnamie, z której jedynym wyjściem jest „uregulowanie sprawy na podstawie układów genewskich z 1954 roku, z wykluczeniem wszelkiej obcej ingerencji" oraz zagadnienie rozbrojenia, podkreślając niebezpieczeństwo, jakie stwarza dla pokoju „rozpowszechnianie się broni nuklearnej".

W sumie można by chyba stwierdzić tak: jeśli w stosunkach bilateralnych już dokonano wielkiego postępu, w międzynarodowych — określono płaszczyzny, na których rozmowy moskiewskie mogą i będą z pewnością owocować nieco później.

Taki w zasadzie jest także tenor komentarzy prasy zachodniej, z wyjątkiem — jak zwykle prasy zachodnioniemieckiej — która podkreśla, że moskiewska deklaracja „nie jest bardzo oddalona od nowego paktu francusko-radzieckiego" i która nawołuje do przemyślenia stosunku Bonn do Francji.

Chciałbym powiedzieć wyraźnie: plon radziecko-francuskiego dialogu jest wysoki i bardzo jednoznacznie służy idei odprężenia.

Właśnie wtedy, kiedy ZSRR i Francja dały nowy wkład w dzieło odprężenia międzynarodowego — w Wietnamie Stany Zjednoczone bombardowaniem przedmieść Hanoi i Hajfongu dały wyraz dążeniom do eskalacji wojny, a tym samym i zaostrzenia sytuacji światowej.

Mimo „kroków przygotowawczych" do tej decyzji Johnsona, a już po fakcie zbombardowania — licznych prób tuszowania nowej zbrodni, reakcja sojuszników Stanów Zjednoczonych była silniejsza niż tego oczekiwał Waszyngton. Nawet Wilson, który dotychczas przecież udzielał moralnego poparcia interwencji USA w Wietnamie, tym razem uznał za słuszne oświadczyć w parlamencie: „zmuszeni jesteśmy odseparować się od akcji tego rodzaju", a prasa zachodnioniemiecka przestrzec USA, że „ataki na Hanoi i Hajfong niszczą koncepcję amerykańską w Azji".

„W płaszczyźnie militarnej — ocenia tę haniebną decyzję USA francuski „Combat" — obecna eskalacja nie posunęła wcale spraw na korzyść Ameryki, a w płaszczyźnie dyplomatycznej — przeciwnie, posunęła je na niekorzyść USA".

Nowy akt wojny wywołał masowe protesty na całym świecie. Związek Radziecki zareagował na niego oświadczeniem rządu, które stwierdza, że obecne ataki mają „charakter szczególnie niebezpieczny".

„Związek Radziecki — czytamy w tym oświadczeniu — udziela i będzie udzielać DRW wszechstronnej pomocy politycznej i gospodarczej oraz będzie dostarczać środków obrony do walki przeciwko imperialistycznej agresji".

Z innych wydarzeń ostatniego okresu wymienić jeszcze trzeba zapowiedziany na 25 lipca przyjazd do Moskwy sekretarza generalnego ONZ — U Thanta (będzie to pierwsza wizyta, złożona obecnemu kierownictwu radzieckiemu, w czasie której omówiona zostanie nie tylko sprawa ponownego kandydowania U Thanta, lecz również wielkie problemy światowe) oraz zamach stanu w Argentynie, gdzie obalony został dotychczasowy prezydent — Illia.

Jego miejsce zajął gen. Ongania — zawodowy wojskowy o nastawieniu wyraźnie antykomunistycznym. Co zamach ten oznacza dla Argentyny — niech wyjaśni fakt, że po zaprzysiężeniu Onganii odczytano tzw. „statut rewolucji", stwierdzający m. in.: „prezydent wykonywać będzie niepodzielną władzę ustawodawczą". W mniemaniu nowego prezydenta funkcjonowanie instytucji konstytucjonalnych ma charakter... drugoplanowy.

Junta wojskowa przystąpiła natychmiast do represji, wymierzonych przeciwko komunistom oraz organizacjom postępowym. Prawda, że nie trzeba lepszej wizytówki?

W. SŁAWSKI

KRONIKA TYGODNIA

Obliczono, iż prezydent de Gaulle w czasie swej ostatniej podróży
— przeleciał 20.000 kilometrów w tym 14.000 kilometrów nad Związkiem Radzieckim,
— loty trwały 31 godzin,
— rozmowy w cztery oczy z premierem Kosyginem trwały 15 godzin,
— oficjalne rozmowy zajęły 9 godzin.

* * *

Amerykańska prasa donosi nie bez pewnego zażenowania, iż Cabot Lodge jest ojcem pomysłu, by wskrzesić na południowowietnamskiej scenie politycznej dawno zapomnianego upiora — byłego „cesarza" Bao Dai. Matka „cesarza" prowadzi ponoć w tej sprawie ożywioną działalność i szuka usilnie kontaktów z buddystami.

* * *

Czy ochrona granic Płd. Wietnamu jest w ogóle możliwa? Takie pytanie stawia prasa amerykańska, stwierdzając, iż mimo działań wojennych na czarnym rynku Sajgonu i innych miast pełno jest chińskich towarów. „Połowa Sajgonu zajmuje się ich przemytem z Kambodży".

* * *

Siemion Carapkin, nowy ambasador ZSRR w Bonn znany jest jako specjalista od spraw rozbrojenia atomowego. Uważa się więc, iż ta nominacja służyć ma znalezieniu wyjścia z impasu, wynikłego z militarystycznej i atomowej polityki zachodnioniemieckich kół rządzących.

* * *

Jedyne to, czego żadna kobieta nie odda mężczyźnie, to jej władza nad nim.

M. NICHOLS, REZYSER

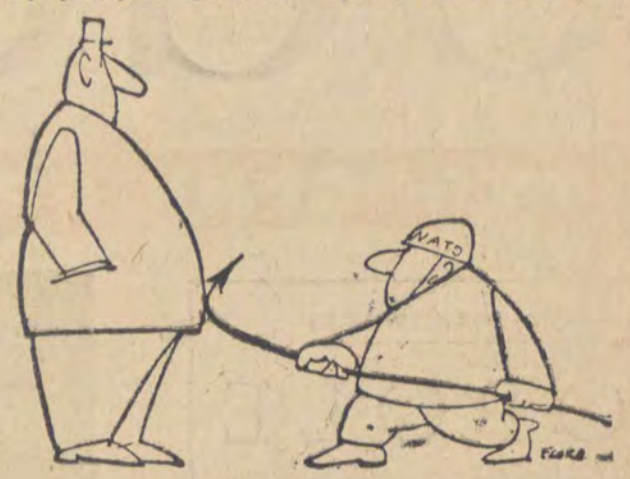

NATO: Wobec de Gaulle'a staramy się stosować politykę elastyczną. (Der Zeit)

ANGLICY O STRAJKU MARYNARZY

Panie Wilson, pora ją nauczyć pływać!

Żona nieszczęsnego Lee Harvey'a, Mary, zrobiła na tragedii w Dallas niezły interes: jej konto bankowe wykazało wpływy w wysokości 100.000 dolarów, pochodzące ze składek społecznych. W przeciwieństwie do matki Oswalda, jego żona, Rosjanka z pochodzenia, szła na wszelkie kompromisy z władzami: składała oświadczenia jakie tylko od niej zażądano. A gdy sprawa przycichła, wyszła szybko powtórnie za mąż za niejakiego K. Portera, indywiduum o dość podejrzanej przeszłości.

Ostatnio do sądu w Dallas wpłynął akt oskarżenia przeciwko drugiemu mężowi sprytnej Mary. Zarzuca mu się, iż znęca się moralnie i fizycznie nad żoną, grozi jej rewolwerem (jak przystało na Texas, kaliber 38) i odmawia łożenia na nowo narodzone dziecko.

* * *

Rząd „po włosku" — to Moro, po którym następuje Moro, po którym następuje Moro Ad Ad.

G. GUARESCHI, PISARZ

* * *

Na poligonach amerykańskich poddawany jest próbom nowy typ bombowca: nie będzie on — jak dotąd — zrzucał bomb, lecz specjalne wyrzutnie (podobne do katapult używanych w wypadku katastrofy przez pilotów) wystrzeliwać będą bomby ładunkiem sprężonych gazów.

System ten ma się ponoć oznaczać zwiększonym bezpieczeństwem obsługi przy niskich bombardowaniach i jest — jak z dumą podaje amerykańska prasa — wynikiem doświadczeń wojny w Wietnamie.

* * *

Prasa amerykańska donosi, iż przedstawiciele handlowi CSRS prowadzą rozmowy w sprawie ewentualnej budowy zakładów samolotowych na amerykańskiej licencji Douglasa i Boeinga.

* * *

W nadchodzącym sezonie zniesione zostają w Izraelu przepisy zabraniające orkiestrom publicznego wykonywania utworów Ryszarda Wagnera i Ryszarda Straussa. Zakaz datuje się od roku 1938.

* * *

Rzecznik watykański kardynał Ottaviani, oświadczył, iż zniesiony Index librorum prohibitorum był „nieszczęsną pozostałością czasów kontrreformacji i inkwizycji".

* * *

Ogromnie wiele miejsca poświęca się wycieczce wakacyjnej Lyndy, córki prezydenta, która najpierw bawiła się wesoło w Los Angeles w towarzystwie pieknisia ze sfer złotej młodzieży, niejakiego George Hamiltona, a następnie zjawiła się w Hiszpanii, już w innym (choć zbliżonym w typie) towarzystwie.

* * *

Asystent prezydenta Johnsona, W. M. Watson podał do wiadomości, iż na zarządzenie głowy państwa, w każdy czwartek o godz. 7.30 odbywać się będzie w Białym Domu specjalne nabożeństwo połączone z kazaniem i medytacjami.

Lektura tych relacji ma stać się antydotum na wątpliwości, jakie trapią przeciętnego Amerykanina w związku z awanturnictwem politycznym prezydenta z Texasu.

* * *

Nadburmistrz Monachium, H. J. Vogel, po powrocie z podróży do Leningradu oświadczył, iż jest pod wrażeniem imponujących osiągnięć w zakresie gospodarki komunalnej tego miasta. „Architektura Leningradu już dawno przewyższyła tendencje zdobnicze zwane „stylem cukierniczym".

* * *

Obserwatorzy odnotowują postępujący spadek popularności prezydenta Johnsona. „Time" pisze, iż znalazła się ona na najniższym poziomie i to nie tylko tej kadencji: od roku 1951 instytucje badania opinii publicznej nie zanotowały takiej fali krytycyzmu. By temu zaradzić, prasa amerykańska w ostatnich tygodniach rozpoczęła akcję „popularyzacji" rodziny Johnsonów. Odbywa się to wg zasad i gustów amerykańskich. A więc:

Wszystkie gazety i czasopisma poświęciły wiele miejsca tragicznej śmierci (wpadł pod samochód) wyżła prezydenta Johnsona.

Prawdziwy polityk wykreśla ze swego słownika dwa słowa: „zawsze" i „nigdy".

HAROLD MACMILLAN

Praca zawsze mnie fascynowała, chociaż często nie była tego warta.

CHARLIE CHAPLIN

PRZYKŁAD IDZIE Z GÓRY

Przyznam się, że z wielką satysfakcją przeczytałem ostatni felieton KTT z „Kultury", zatytułowany wymownie — „Naruszanie zasad". Okazuje się bowiem, że jednak zbliżamy się i my, marni prowincjusze, do Warszawki, przechwytujemy styl eleganckiego świata i obyczaje. KTT pisze: „Czytając gazety i enuncjacje trudno niekiedy zorientować się dokładnie, kto? i za co?". U nas też trudno, ale ostatecznie można. Nasza prowincjonalna prasa kiepsko stoi z aluzjami, podtekstami, mało w niej turkuciów-podjadków, no, ale powieścia to nam Warszawka nie zaimponuje. KTT pisze, że pan Sławomir Sierecki używa sobie w swojej powieści pt.: „Zatoka wielkiej ciszy" na pewnej młodej i zdolnej aktorce. Otóż rzuciła ona kochanka, reżysera filmowego, na rzecz dosyć sobie szmatławego dziennikarza jakiejś zachodniej gazety. U nas taki romans z wyższych sfer nie jest możliwy, nie mamy zachodnich dziennikarzy na składzie, nie nazywamy zdolnych aktorek najwybitniejszymi z ich pokolenia. Przecież jednak znalazłyby się i u nas skandalizujące powieści, w których stawia się żony byłych przyjaciół w świetle wcale nie gorszym niż to czyni pan Sławomir, pisarz Warszawki, w wypadku wybitnej aktorki. Kiedyś bili się ludzie na pięści, teraz na powieści, albo opowiadania. Z czasem dojdziemy pewnie do poezji i dramatu.

KTT pisze w swoim, doprawdy świetnym, felietonie: „A więc jeśli na przykład jeden krytyk nie ceni drugiego — nie stanowi to dla nich, jak ongiś bywało, podniety, aby usiąść do maszyny i swego oponenta publicznie zniszczyć, lecz przenosi swoje uczucia w dziedzinę ukłonów, niuansów i plotek. Ludzie ci mogą znać się latami, ale pewnego dnia, kiedy spotykają się na ulicy w towarzystwie swych małżonek lub matek-staruszek, nie odwzajemniają sobie ukłonów, odwracają się do ściany lub wręcz niby to przypadkiem, spluwają sobie pod nogi".

A my pomału też, spluwać zaczynamy, oczywiście w w odpowiednich dla prowincji proporcjach. Nie piszemy na ten temat felietonów, ale, cóż dużo mówić, styl Warszawki szybko się upowszechnia. Mamy już te zadęcia, te rak niepodawanie, te uroczyste oświadczenia, deklaracje nienawiści w gronach najbliższych, czy sądy koleżeńskie z byle powodu.

KTT powiada, że go o sensacyjki à la Warszawka wypytywano w Rudzie Śląskiej i Rybniku. Nam się to już także przytrafia, kraj chce poznać dokładnie złożoną osobowość twórcy. Więc pyta, która mu żona z kolei leci przed ołtarz, ile bierze za dedykacje na książce, czy to prawda, że pije na umór do lustra, jakim volkswagenem jeździ, ile narozrabiał tu czy tam, i czy przypadkiem to nie on posiedział, za to czy tamto. Może zresztą skończyło się na zawieszeniu, niech pan powie, my tu swoi, my też chcemy wiedzieć wszystko, rzucił ja i dlatego ona teraz tak kiepsko wygląda w telewizji, czy może ona go rzuciła, jak to jest?

Tak więc i my się podciągamy, a Warszawce przyznać trzeba duży sukces w robocie upowszechnieniowej — jak mówi pewien naczelnik wydziału.

Cudowny jest ten mechanizm reklamki. Wywołuje się go po to, żeby na oczach czytelników zwalczać. I chyba słusznie nazywamy ów prosty mechanizm fermentem kulturalno-dyskusyjnym, prawda?

Wiesław Jarosiński

Szlachetne zdrowie...

Dalszy ciąg ze str. 1

zabezpieczające ochronę zdrowia grupom ludności najbardziej zagrożonym na zachorowanie oraz piony zajmujące się leczeniem chorych na choroby społeczne. W ostatnich 5 latach rozbudowano przemysłową służbę zdrowia. Wprowadzenie do produkcji nowych surowców, tworzyw sztucznych, nowej technologii, maszyn itp. często wiąże się z występowaniem nowych niebezpieczeństw dla zdrowia robotnika. Stężenie gazów i pyłów, natężenie hałasu i wibracji — postawiły przed przemysłową służbą zdrowia zadanie wzmożonego nadzoru nad warunkami pracy, zapobieganie ujemnym skutkom szkodliwych czynników, wczesnego wykrywania chorób i wczesnego ich leczenia. Obecnie wszystkie większe zakłady przemysłowe Łodzi mają własne przychodnie lekarskie, których personel zna technologię produkcji i potrafi zapobiegać chorobom zawodowym.

Jest już sieć zakładów, kadry odpowiednich pracowników i personelu pomocniczego we wszystkich pionach, ale potrzeby nie są w pełni zaspokojone. Służba zdrowia pracuje nad usunięciem niedoborów. Dla przykładu: rocznie wydaje się ponad 10 milionów złotych na zakup nowej aparatury diagnostycznej i leczniczej. Ostatnio dyskutowanym problemem jest podniesienie poziomu usług lecznictwa otwartego drogą zespolenia go z lecznictwem zamkniętym. Sens tej koncepcji polega na zapewnieniu ciągłości leczenia chorych poprzez ustalenie jednego kierownika fachowego — ordynatora oddziału danej specjalności. Zniknie dotychczasowy podział na lekarzy lecznictwa otwartego i zamkniętego, gdyż nowy system będzie powodował stałą wymianę asystentów pracujących w miarę potrzeby w otwartej, bądź zamkniętej opiece zdrowotnej. Umożliwi to także stałe dokształcanie kadry lekarskiej, co obecnie dotyczy w zasadzie tylko lekarzy lecznictwa szpitalnego. System ten stworzy lepsze warunki wykorzystania kadr specjalistów, pozwoli na ciągłość leczenia, a co za tym idzie — racjonalne wykorzystanie łóżek i zmniejszenie absencji chorobowej. I wreszcie — umożliwi szerokie wykorzystanie aparatury specjalistycznej, będącej w posiadaniu szpitali.

DZIECI I...

W służbie zdrowia jest jedna dziedzina, która stanowi jakieś pogranicze profilaktyki i lecznictwa. Nazywamy ją higieną szkolną. Szkoła powinna być jednak terenem szczególnej działalności właśnie lecznictwa i od lat mówi się o lekarzu szkolnym jako specjaliście, a higienę szkolną nazywa się coraz częściej medycyną szkolną. Zatrudnia to lecznictwo 35 lekarzy na pełnych etatach i około 100 w godzinach pozaetatowych.

Przed wojną było w Łodzi 113 rejonów lekarskich dla dorosłych i 32 dla dzieci. Obecnie jest 220 dla dorosłych i 111 dla dzieci. Przychodni lekarsko-dentystycznych było 32 — dziś 208. W 1938 r. było w Łodzi 100 miejsc w 2 żłobkach. Dzisiaj jest 3.993 w 58 żłobkach (w tym 24 z nowego budownictwa). Ilość przedszkoli wzrosła z 46 w 1945 r. do 147 w 1965 r. (17 tys. miejsc).

Kadra ta jest bardzo płynna i składa się z lekarzy różnych specjalności, o różnym stażu i bardzo różnym przygotowaniu. W tych warunkach szkolna służba zdrowia kładzie nacisk na szkolenie posiadanej kadry przede wszystkim w kierunku dobrego opanowania zadań profilaktycznych. Leczenie (poza pomocą doraźną) prowadzą odpowiednie poradnie rejonowe dla dzieci, a lekarz szkolny w obecnym ujęciu jest odpowiednikiem lekarza zakładowego. Do jego zadań należy: kontrola zdrowia i rozwoju uczniów, oparta na badaniach okresowych, pomiarach antropometrycznych oraz wyłowieniu grupy młodzieży wymagającej specjalnej troski (grupy dyspanseryjne); zapobieganie chorobom zakaźnym poprzez szczepienia ochronne (prowadzone na terenie placówek oświatowo-wychowawczych), czuwanie nad higieną nauczania w szkole i nadzór nad stanem sanitarnym szkoły (odpowiednie oświetlenie, ławki, odżywianie).

...STARCY

Narastającym problemem jest opieka nad ludźmi starymi. W roku 1960, osób w wieku ponad 60 lat, było w Łodzi ponad 76 tysięcy, obecnie jest ich ponad 96 tys. Miejsc w domach rencistów jest tylko 280, w domach dla przewlekle chorych — 850. Potrzeby są znacznie większe. Poza tym trzeba myśleć o lecznictwie specjalistycznym dla ludzi starych. Dla rozwoju geriatrii konieczne jest jednak przede wszystkim szkolenie kadry lekarskiej. Nasze miasto dysponuje zaledwie jednym oddziałem geriatrycznym w Domu Opieki przy ul. Wróblewskiego. Drugi jest w trakcie organizacji w Domu przy ul. Paradnej. W najbliższym czasie możliwe będzie zorganizowanie dwóch poradni geriatrycznych w lecznictwie otwartym.

W wyniku 20-letniej pracy służby zdrowia i zmian w warunkach bytowania ludności przeciętna życia ludzkiego dłużyła się z 49,8 do 67,8, a więc średnio o 18 lat. Przed wojną z usług ubezpieczalni społecznej korzystało 43,4% mieszkańców Łodzi. Dziś ubezpieczenie obejmuje 98,8% ludności miasta. Przed wojną z kanalizacji korzystało 6,9% mieszkańców, dziś — 63%, a z wodociągów 14,7% przed wojną i 67,3% obecnie.

INWESTYCJE 5-LATKI I GŁÓWNE ZADANIA

Do 1970 r. Łódź uzyska szpital miejski przy ul. Pabianickiej (579 łóżek, w tym 135 dla onkologii), rozbudowę Szpitala im. Madurowicza o 200 łóżek, a szpitala psychiatrycznego o 184 łóżka. Przy Szpitalu im. Sokołowskiego powstanie 180-łóżkowy pawilon dla przewlekle chorych na Grużlicę, a w wyniku zmian w Łagiewnikach, uzyska się około 260 łóżek szpitalnych zamiast planowanych 190 sanatoryjnych.

Lecznictwo otwarte otrzyma trzy przychodnie z budownictwa DBOR (w osiedlach Dąbrowa i Teofilów), przychodnię obwodową przy ul. Łagiewnickiej (wraz z apteką) i rejonową przy ul. Dembowskiego.

Trzy zakłady opieki społecznej (450 miejsc), 4 nowe żłobki, 8 aptek i pomieszczenie dla Kolumny Transportu Sanitarnego — to następne pozycje planu. Na powyższe inwestycje przeznaczono 280 mln zł. Na modernizacje i kapitalne remonty istniejących obiektów — 65 mln zł.

Łódzka służba zdrowia jest w końcowej fazie rozwiązywania spraw ilościowych. Cała energię, wiedzę i zdolności przestawia na pogłębienie i polepszenie jakości pracy. Trzeba doprowadzić szereg spraw do końca: rozpoznać stan zdrowotny ludności miasta oraz rozpoznać i określić potrzeby zdrowotne. Skoncentrować wysiłki na opanowaniu i stałym zmniejszaniu zachorowalności na gruźlicę, choroby gośćcowe, choroby skórno-weneryczne, psychiczne oraz choroby powodujące ciągle jeszcze wysoką umieralność niemowląt. A zatem trzeba polepszyć organizację pracy, przyjęć pacjentów, zgłoszeń, wizyt domowych, opieki nad środowiskiem. Słowem stworzyć warunki bezbłędnego funkcjonowania instytucji, której powierzono ochronę zdrowia 750 tys. obywateli Łodzi.

ZOFIA TARNOWSKA

Fot. Kollath Maria

LISTY do REDAKCJI

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE,

Uprzejmie proszę o zamieszczenie następującego sprostowania:

W 21 numerze „Odgłosów" z br. ukazał się mój artykuł pt. „W teatrze nad Prosną", gdzie podzieliłem się swoimi wrażeniami z VI Kaliskich Spotkań Teatralnych. Pisząc o popularności teatrów łódzkich na tamtym terenie i sukcesach artystycznych w ramach Spotkań, dodałem: „Toteż nieco przykro było słuchać komentarzy kaliszan, sprawujących mecenat opiekuńczy, na temat pozaartystycznych popisów części zespołu Teatru im. S. Jaracza, który kilka godzin wcześniej tak owacyjnie był przyjmowany". Dyrekcja Teatru im. S. Jaracza zwróciła się z prośbą o wyjaśnienie sprawy do swych kaliskich mecenatów, ci odpowiedzieli listem, anulującym moją wyżej cytowaną uwagę, stwierdzając m. in., że „atmosfera (na przyjęciu — S. K.) była przyjemna i wszyscy znajdujący się na spotkaniu zachowywali się jak najbardziej poprawnie i kulturalnie".

Cieszę się prawdziwie, że moje informacje okazały się nieścisłe w świetle enuncjacji dyrekcji Kaliskich Zakładów Przemysłu Odzieżowego, opiekuna Teatru im. S. Jaracza w Łodzi.

STANISŁAW KASZYŃSKI

Łódź, dn. 30. VI. 66 r.

WACŁAW BILIŃSKI

Maraton kulturalny

W nocy śniły mi się kontrowersje i spory, pieniactwo i gardłowanie. Zbudziłem się bardzo zaniepokojony tą tradycyjną wizją sarmackich sejmików. A o 9.00 rano już siedziałem na sali Łódzkiego Sejmiku Kulturalnego. Za oknem deszcz, na sali miły chłodek. Nad stołem prezydialnym piękna dekoracja: ogromne, białe skrzydło. A może to dwa skrzydła? Zdania na ten temat były podzielone, dekoracja się podobała, jej symbolizm przemawiał do zebranych. Pomyślałem: ostatecznie może i jedno skrzydło wystarczy, by uskrzydlić naszą łódzką politykę kulturalną?

Zaczęły się referaty, pierwszy wprowadzający mgr R. Stefańczyka, jak zwykle bardzo optymistyczny, potem W. Jażdżyńskiego, jak zwykle niezwykle dowcipny. Jażdżyński mówił o sprawach Łodzi literackiej. Postulował wydawanie „Osnowy" jako kwartalnika, z którą to potrzebą wszyscy na sali się zgadzali. Orzekł, iż KULTURA POLSKA ma model literacki. Nikt nie wyraził wątpliwości, bo Jażdżyński to autorytet. Trzeci referat mgr W. Budzyńskiego przedstawił kompleksowo zagadnienia łódzkiego Ośrodka Filmowego. Następnie przewodniczący W. Orłowski odczytał referat nieobecnego red. W. Malskiego (choroba) o problemach łódzkich teatrów, zastrzegłszy sobie uprzednio prawo do różnicy poglądów, których zresztą nam nie ujawnił. A z referatu wynikało, że mamy teatry na dobrym średnim polskim poziomie, i że radzimy sobie z frekwencją. Potem rektor Zdzisław Głowacki mówił o naszej plastyce. Zanotowaliśmy, że rektor uważa, iż Łódź ma dosyć pomieszczeń wystawowych, z czym polemizował B. Liberski. Mgr Andrzej Hundziak zapoznał nas później z rozwojem naszej kultury muzycznej, a mgr Jolanta Sulej — jak zwykle z fajerem — mówiła o pracy kulturalno-oświatowej, ale muszę się przyznać, że już coraz mniej do mnie docierało, gwałtu, ludzie, co się dzieje, siedem referatów pod rząd, kto to wytrzyma! Więc była przerwa i poszliśmy na obiad (w „Tivoli" — rosół i kotlet siekany). Po przerwie zaczęła się dyskusja, dwudziestu paru dyskutantów, naukowców, twórców, działaczy kulturalnych mówiło z rzetelną troską o sprawach naszego miasta. Kontrowersji nie zanotowaliśmy. Natomiast wszyscy zaczęliśmy sobie uświadamiać, że wielkie osiągnięcia sprawiają same kłopoty. Bo awans Łodzi w ubiegłym dwudziestoleciu nikomu nie pozwoli spocząć na laurach. Łódź urosła do rzędu czołowych ośrodków naukowych i twórczych kraju i ten fakt zmusi nas do aktywniejszej niż dotąd, śmielszej i o szerszych horyzontach polityki kulturalnej. Że — jednym zdaniem — miasto dynamicznie rośnie — więc dynamicznie rozwijać się musi (jakże często „nie nadążająca") polityka kulturalna.

Bo też i nasze miasto w minionym dwudziestoleciu zmieniło całkowicie swój charakter, były to zmiany ilościowe, często na co dzień niezauważalne — i proszę, mamy oto niebywałą zmianę jakościową: Łódź to już nie Kopciuszek, to już metropolia. I wyrosły już siły, mogące awansować nasze miasto do ścisłej czołówki POLSKIEJ KULTURY. Nacisk tych sił jest olbrzymi, coraz bardziej rosnący. Wymagania — proporcjonalne do osiągnięć.

Słuchając, myślałem o troskach wynikających stąd dla naszych ojców miasta. Bo np. łódzki ośrodek filmowy należy do czołowych w Europie, więc trzeba mu stworzyć godziwe warunki działania, zaplecze o nowoczesnych salach filmowych powołać wielkie imprezy o odpowiedniej randze itp. A w tej dziedzinie — dość zaniedbanej — nie da się dłużej zwlekać. Albo inny przykład: lada chwila przejmiemy w posiadanie drugi w Polsce co do wielkości gmach teatralny: ileż z tym łączy się problemów, ot, chociażby wzmocnienia łódzkiej kadry reżyserskiej siłami pierwszej miary, siłami wypróbowanymi (bo nie ma czasu na eksperymenty). Albo — problem środowiska plastycznego z takimi międzynarodowymi sukcesami kontynuującego rewolucyjne tradycje sztuki łódzkiej. Trzeba mu tworzyć warunki ekspozycyjne — i to na miarę europejską, sprawa nie cierpi zwłoki. Więc trzeba nam pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy!

Cóż dziwnego, że na Sejmiku przewodniczący mgr Edward Kaźmierczak w miarę, jak obraz potrzeb zarysowywał się w coraz to nowych szczegółach, z troską chyba trzymał się za pugilares. Skąd wziąć na to wszystko?

Nie chodzi na szczęście o same tylko środki materialne: równie ważne jest i zrewidowanie dotychczasowej polityki kulturalnej. Łódź jest skazana na wielkość, to drugie miasto w Polsce. Polityka kulturalna, dotąd wycelowana głównie na likwidację niezawinionego zacofania naszego miasta, i często pasywna (co może wynikało z tego zadania) — musi teraz stać się dynamiczna. Pora na śmielsze inicjatywy, na większe ambicje. Trzeba więcej żądać: i od siebie, i od Warszawy, której przedstawiciela notabene (Ministerstwo Kultury widocznie już na wakacjach!) nie zauważyliśmy na sali obrad. Pora nadać Łodzi rangę i w sprawach kultury. Choć jest to zadanie na lata, dziś już decyduje ono o modelu przyszłej polityki kulturalnej.

Uff, wszystkim nam dokuczał zawrót głowy, gdy Sejmik dobiegał końca. Jakie perspektywy, ale i jakie potrzeby! Więc jeszcze rozległ się okrzyk zachwytu Romana Lobody (tak sam to określił), a potem w podsumowującym przemówieniu I sekretarz KŁ tow. J. Spychalski wskazał, iż pora definitywnie awansować Łódź na stolicę kulturalną regionu, bo Łódź wciąż jeszcze z regionem nie jest dostatecznie zintegrowana, wiadomo jak trudno być prorokiem we własnym kraju), a także, iż pora pomyśleć o wielkich imprezach kulturalnych, godnych wielkości naszego miasta. Poczem dokonaliśmy wyboru delegatów na Ogólnopolski Sejmik Kulturalny. Z najbliższych nam wybrano J. Koprowskiego, który na zjeździe wygłosi (na pewno) piękne przemówienie, a w kuluarach będzie działał (oby tak było!) w ważnych dla nas sprawach.

I tak zakończył się o godz. 21 z minutami ten nasz Sejmik. Sejmik? Raczej roboczy, rzetelny maraton, raczej podsumowująca debata. Bo tak wyglądają w roku 1966 sejmiki. Tempora mutantur et nos mutamur in illis.

JERZY URBANKIEWICZ

Madame Mouton lubi słońce

Na problem truskawki można spojrzeć z wielu punktów widzenia:

A więc np. z punktu widzenia: truskawki „jako takiej", plantatora (bardzo ważna postać!), skupu (niech nas Bóg ma w swojej opiece!), transportu (cztery koła, to jeszcze nie wszystko), hurtownika (wyżej przepisu nie skoczysz!), detalisty (panowie się tłuką, a z chłopa wióry lecą!) i wreszcie konsumenta (chciało się Zosi jagódek!).

Truskawki występują w wielu odmianach, z których Faworytka, Madame Mouton i w jakimś stopniu Talizman charakteryzują się owocem dużym przez cały okres owocowania, podczas gdy inne, zaczynają z rozmachem i rychło tracą rezon, a rodzą owoc drobny, na który każdy agent, PIH i konsument patrzą z niesmakiem. Z drugiej strony — wielkość nie zawsze decyduje o zaletach smakowych. Murzynka, choć drobna, uchodzi za cymes wśród innych, natomiast Madame Mouton pomimo zagranicznej i pełnej szacunku nazwy, zyskała sobie nieoficjalny przydomek „Kartoflanki", gdyż zalet ma niewiele, choć — gwoli sprawiedliwości dodać trzeba, — lubią ją za granicą.

Każda truskawka lubi, by ją posadzić wczesną jesienią, bo wtedy mocno się zakorzenia i rodzi zdrowe płody, by ją odpowiednio nawozić, zabezpieczać od chorób i szkodników, lubi wreszcie wilgoć, ale nie w nadmiarze i dużo słońca. Żeby wyczerpać temat l u b i e n i a do końca — lubi, by ją jeść sama, albo z cukrem, albo ze śmietaną, lub bitą śmietaną.

Poza tym — truskawka lubi kłamać. W roku bieżącym z a p o w i a d a ł a, że obrodzi znakomicie, co skłoniło czynniki do energicznych przygotowań a nawet do mobilizacji transportu wojskowego, ale uderzenie wiosennych mrozów zniszczyło od 30 do 80 proc. kwiatów i z planowanych na rok bieżący 130 tys. ton, otrzymamy nie więcej niż 100 tys. ton, a i te przyprawiły wszystkich uczestników truskawkowego pionu o zdenerwowanie, gorycz i zawód. Po mrozie przyszła susza a potem deszcze, a to jeszcze sytuację pogorszyło.

Hodowca truskawek działa na zasadzie kontraktu zawartego z instytucją skupującą płody. W kontrakcie takim producent zobowiązuje się do przeprowadzania niezbędnych zabiegów uprawowo-pielęgnacyjnych, że jego wysiłek włożony w plantację **da 80 proc. owocu w pierwszym wyborze**, reszta może być w drugim, że dostawi do punktu skupu **towar posortowany**, że jeśli wyprodukuje towar eksportowy, otrzyma dodatkową premię. Instytucja skupująca jest zobowiązana do kupienia truskawek, jeżeli odpowiadają one wymaganym warunkom. Ceny skupu ustalone są również z góry a w roku bieżącym wynosiły dla Murzynki 8,50 zł za kg, dla większości innych odmian — 6,50, oczywiście za pierwszy wybór. Wybór drugi — o 2 zł taniej.

Zaprowadzenie hodowli nie jest rzeczą najłatwiejszą. Na 1 ha powierzchni sadzi się około 32 tys. rozsad. Kosztuje to około 16 tys. zł, a dochodzi do tego koszt nawozów, środków chemicznych, pracy. Przy tym wszystkim producent ponosi ryzyko wynikające z niespodzianek atmosferycznych i ryzyko takie poniósł w dość dotkliwy sposób w roku bieżącym, z przyczyn, o których mowa była wyżej. Toteż — być może — wielu hodowców, którzy zaczęli właśnie w tym roku, zniechęca się. Ci jednakże, którzy hodują truskawki od lat kilku, wiedzą, że bywają dobre lata, w których następuje rekompensata i na ogół hodowla truskawek jest interesem dobrym.

Należy sobie uświadomić, że dzisiejszy hodowca truskawek, warzyw, czy owoców

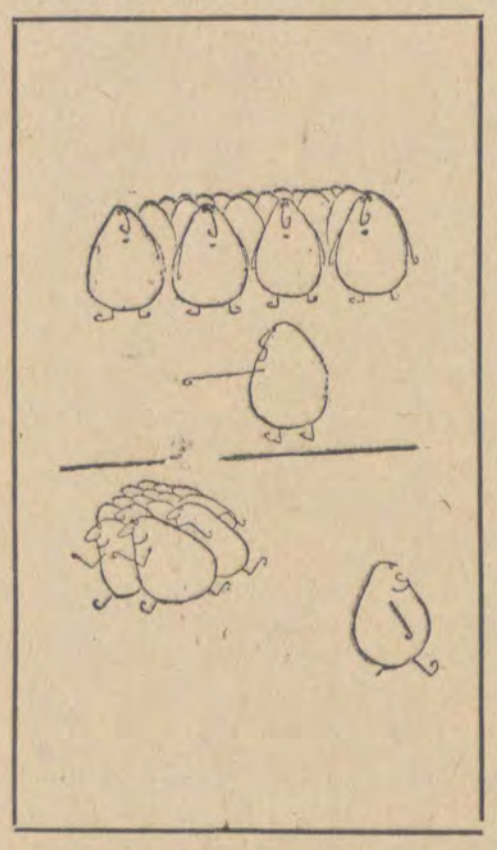

nie jest — na ogół biorąc — jakimś uciemiężonym biedakiem. Współpraca: wieś — miasto wyszła mu raczej na zdrowie i trudno by było z całą pewnością twierdzić, że pewne zdjęcia w Kronice Filmowej, czy telewizji nie zawierały pewnego ładunku niepotrzebnej demagogii. Samochody przedsiębiorstwa „Warzywa i Owoce" nieraz wracały do Łodzi próżne, ponieważ hodowcy stawiali wygórowane wymagania, albo też nie przygotowali warzyw, bo na Piotra i Pawła były odpusty. A my chcemy jeść we wszystkie dni świąt kościelnych i państwowych. W roku bieżącym, z przyczyn opisanych wyżej do punktów skupu przywieziono dużo truskawek jakościowo złych i te nie zostały przyjęte. W wielu wypadkach dostarczone truskawki oceniano jako towar „poza wyborem", proponowano chłopom cenę najniższą, co niekiedy spotykało się z protestami i demonstracjami w rodzaju wysypywania płodów do rowu, a zdarzyło się, że obrzucono samochody truskawkami i samochody te powróciły do baz, ociekając krwawym sokiem Madame Mouton. Można te wydarzenia traktować jako sensację. Ale można też postawić pytanie: dlaczego mieszczuch zmuszany przez 8 godzin dziennie do produkcji j a k o ś c i o w o w y s o k i e j, miałby godzić się na konsumowanie byle czego.

Głowa hodowcy powinna służyć nie tylko do drapania w wypadku nieurodzaju. Ciekawym przykładem umiejętności myślenia jest podłódzka Spółdzielnia Produkcyjna Ksawerów. Tam, cały plon 6 hektarów obracają na przerób na miejscu, zgodnie z następującą kalkulacją. Sprzedając świeże truskawki, dostaliby po 6,50 zł za kg. Oni robią kompot i dostają (po dodaniu słoika, uszczel

ki i „zalewy") **20 zł za 70 dkg truskawek.** Oczywiście, gdyby tak wszyscy robili, nie jedlibyśmy świeżych truskawek. Na szczęście to nam nie grozi.

Skupem zajmują się: głównie Centrala Spółdzielni Ogrodniczych, a także Samopomoc Chłopska, Zjednoczenie Przemysłu Owocowo-Warzywnego. Rola tych instytucji w całym tym truskawkowym interesie wydaje się najbardziej niejasna. Bo wyobraźmy sobie następujący obrazek. Punkt skupu w Pietruszkowie Dolnym. Po jednej stronie drogi — rząd furmanek z truskawkami. Po drugiej — rząd ciężarówek przysłanych przez miejskie przedsiębiorstwo handlujące Murzynka. Po środku drogi — pracownicy skupu. Odbierają towar od chłopów i z „ręki" oddają go tym z miasta na ciężarówki. Tam agent podpisuje, że kupił i odtąd agent ponosi całą odpowiedzialność, choć kupił „kota w worku", bo jakości załadowanych na samochód truskawek w ilości 3 ton nie jest w stanie sprawdzić. **Instytucja, stojąca pośrodku drogi i przekazująca truskawki z lewej na prawo, otrzymuje za fatygę 12 proc. od przeładowanych truskawek. Za co?** Przecież ryzyko ponosi agent i jego przedsiębiorstwo.

Producenci mają najwięcej żalu do Skupu. 2—3 pracowników przyjmuje dziesiątki ton owocu, **który z każdą godziną traci na wartości.** A fatyga wyczekujących godzinami rolników jest chyba coś warta.

Truskawki, kupione w takich warunkach, trzeba przewieźć bliżej konsumenta. W województwie łódzkim mamy bardzo mało baz truskawkowych. Gorczyn koło Łasku i Bratoszewice za Strykowem. Jest jeszcze Łowicz, ale jego wielka i nowoczesna przetwórnia pochłania wszystko. Toteż musimy jeździć po truskawki w Warszawskie, Kieleckie, Lubelskie. A truskawka nie lubi jeździć. Wyszłyby jej na zdrowie samochody-chłodnie, ale gdzie tam marzyć o czymś takim. Toteż, cała odpowiedzialność na zwykłych ciężarówkach Państwowego Przedsię-

biorstwa Handlu Wewnętrznego. W pierwszych dniach w y s y p u truskawek jeździły jak szalone tam i z powrotem, ale wreszcie trzeba było dać wytchnąć kierowcom, a jednocześnie ujawniło się, że alarm z powodu klęski urodzaju, okazał się fałszywy i wozy często wracały z niczym. W Warszawskiem próbowano zorganizować łączność radiową, aby kierować samochody do tych punktów, które miały truskawki. Ale krótkofalówki nie działały. Bywało, że samochody stały po dwa dni u dostawców i czekały bezskutecznie na towar.

Do transportu potrzebne też są łubianki. W tym roku było z nimi lepiej niż poprzednio. Że jednak drewno — to towar reglamentowany, sprawa nie wygląda najlepiej i gdyby urodzaj dopisał zgodnie z zapowiedziami, to kto wie, czyby nam niedobór łubianek w pracy nie przeszkodził.

Tak czy owak — truskawki mamy w mieście i bierzemy się do sprzedaży. Zajmuje się tym u nas Przedsiębiorstwo Państwowe „Warzywa i Owoce". Właściwie do nazwy tej dodano też „Kwiaty". Ze względu jednak na cierniową drogę przebytą w sezonie truskawkowym, zostańmy przy skróconej nazwie. Przedsiębiorstwo oraz jego sprawy mają wpływ decydujący na to, jaką cenę dla truskawek ustali Komisja Cen. Prawie przez cały tegoroczny sezon mieliśmy cenę 10 zł za pierwszy wybór. Wyboru drugiego sprzedano zaledwie 10—15 proc. **Dlaczego 10 zł?**

Producent dostaje za 1 kg	6,50 zł
Skup 12 proc.	0,78 zł
transport	0,80 zł
ubytki w transp.	0,25 zł
ubytki w sklepie	0,30 zł
Razem	**8,63 zł**

a „Warzywa i Owoce" przecież darmo pracować nie mogą i coś trzeba dać handlowi detalicznemu. Cena nie jest więc wygórowana. Można by ją obniżyć chyba tylko drogą obniżenia któregoś z wymienionych składników.

Cierniową drogą „Warzyw i Owoców" tym się objaśnia, że Przedsiębiorstwo to ponosi całe ryzyko przedsięwzięcia i musi świecić oczami za niedociągnięcia producenta, Skupu, transportu a nawet za kapryśność truskawek. Istnieją przepisy określające, co to jest pierwszy wybór. Owoc musi mieć średnicę nie mniejszą niż 2 cm (Murzynka — 1 1/2 cm) oraz musi mieć minimalną ilość uszkodzeń i piasku. Otóż Przedsiębiorstwo kupuje jakąś ilość truskawek w punkcie położonym 200 km stąd. Truskawki po deszczach są miękkie, nietrwałe. Po odbyciu podróży nie nadają się na wybór pierwszy. A zapłacono jak za pierwszy. Przedsiębiorstwo stara się „wyjść na swoje". Ale PIH nie puszcza. PIH często kontroluje sklepy. To dobrze. PIH rzadko kontroluje punkty skupu. To źle. Skoro przywieziony towar należy przekwalifikować, kogoś trzeba obciążyć stratą. Kogo? Zdarzyło się, że truskawki pierwszego wyboru przekwalifikowano na „poza wyborem". Pewna ilość takich, Przedsiębiorstwo sprzedało po zniżonej cenie Łódzkiej Fabryce Win. Później jednak fabryka zaprzestała tych zakupów, bo... drewno — towar reglamentowany i brakło beczek. Wtedy „Warzywa i Owoce" odstąpiły im własne beczki, ryzykując losem kiszonych ogórków i kapusty, ale i tego nie na długo starczyło.

Sprzedawca w sklepie detalicznym otrzymuje 20 gr premii za sprzedany kilogram. Toteż wolałby truskawki tanie, by ich więcej sprzedać. Niestety, nie ma on wpływu na bieg wyżej opisanych spraw. Krępuje go cennik i rzadkie są wypadki, kiedy widząc u siebie towar zły, zdecyduje się na komisyjną decyzję obniżenia ceny. W pierwsze dni sezonu poszczególne sklepy sprzedawały do 1000 kg dziennie. Później bywały dni, kiedy w ogóle truskawek nie dostarczano, choć ludzie czekali i pytali.

Konsument chce truskawek ładnych i tanich. Obok sklepu, w którym sprzedawano pierwszy wybór po 10 zł, stanął wóz z truskawkami po 14 zł. Tym w sklepie nie można było nic zarzucić. Ale truskawki na wozie — były piękne. Ludzie poszli do wozu i wykupili wszystko. W pierwszych dniach sezonu łodzianie dostawali po 100—120 ton truskawek. Później odczuwano braki. Pomimo, że Wydział Handlu zrobił wszystko, byśmy się objedli jak nigdy.

Co zrobić, byśmy w przyszłości w sezonie truskawkowym najedli się truskawek a nie goryczy?

Mamy dwie propozycje.

1° — Niech instytucje prowadzące skup, przekazują towar tu, na miejscu. W naszym interesie, interesie konsumentów leży, by gatunek pierwszy był gatunkiem pierwszym według kryteriów dzisiejszych, według oceny dokonanej godzinę przed spożyciem. Wtedy pojawi się też w dużej ilości gatunek drugi, dla tych, którzy chcą smażyć i robić kompoty. Lub nie mają za dużo pieniędzy.

2° — Niech ktoś przekona rolników podłódzkich, że kontraktacja truskawek jest opłacalna. Zmniejszyłby się wtedy koszt transportu, zmalały straty powodowane czasem i odległością. Jedlibyśmy owoc zerwany przed paru godzinami a nie wczorajszy lub przedwczorajszy.

A swoją drogą — taka mała truskawka, a ile to z nią kłopotu...

Co to jest happening?

Happening jest modny w USA! Tego terminu używa się dla określenia szczególnej zabawy. U podłoża tej zabawy leży zbiorowe szaleństwo, tzw. „wyzwolenie instynktów"! Tkwi w tym pragnienie zerwania z konwenansem, chęć powrotu do natury, dominujący w happeningu jest symbolizm seksualny, jakkolwiek happening nie rości sobie pretensji do psychoanalizy. Jego historia jest inna, a prognozy nie zbyt wesołe. Twórcy happeningu twierdzą, że... „aby zrozmieć jego sens trzeba wysiłku umysłowego, który zburzy dotychczasowe pojęcia". Co to znaczy? Sięgnijmy do początku happeningu i jego symbolicznego rytuału.

Happening narodził się w 1959 roku w New Yorku, w Greenwich Village, gdzie awangardowy malarz Allan Kaprow i jego przyjaciele na wspólnych zebraniach dyskutowali nad nowym kształtem sztuki: muzyki, tańca, malarstwa czy rzeźby. Każda propozycja musiała być oryginalna, unikalna w swoim gatunku, wyzwolona z tradycjonalizmu. Grano muzykę elektronową Johna Cage'a, wyciskano farby na poduszki foteli, naśladowano w tańcu ruchy spętanych drutem kolczastym osłów, recytowano poezję bez sensu i przy akompaniamencie gitar śpiewano pacyfistyczne ballady.

Atelier Kaprowa jest nie duże, siedzi się przeważnie na podłodze, co chwila gasną za wieszone u sufitu lampy i zapada ciemność. Orgia? nie — raczej „wyzwolenie instynktów"! Zrozumiałe tam gdzie rej wodzi cyganeria artystyczna i młodość. Dadaizm i surrealizm dojrzewały podobnie w paryskim środowisku ubogich malarzy, skłóconych z konwenansem otoczenia, w pogardzie dla niego. Dada to sprzeciw, a happening ma te same treści. Bunt? przeciw czemu i komu...? Tutaj oskarżeni to pieniądz, hipokryzja, tyrania, konformizm. To zło istniało wprawdzie od dawna, ale w społeczeństwie technokratycznym — formy tych spraw są ostrzejsze.

Działalność Kaprowa trwała parę lat, mimo że atmosfera nie była sprzyjająca. W Stanach Zjednoczonych rodził się właśnie nowy ruch zwany „Nowe Granice". Wyrażał sprzeciw młodych Amerykanów gardzących dobrobytem jaki ich otacza, gniewnych i buntowniczych. Z chwilą objęcia przez Kennedy'ego rządów, motywy buntu przestały być aktualne, a więc i happening zaliczono do kaprysów pseudoartystycznych. Zachwyt jaki otaczał osobę młodego prezydenta i potem tragedia w Dallas przekształciły się w kult nowych bożyszczy takich jak Superman czy Batman. Notuje się także powrót do mitu Hamphrey'a Bogarta — bohatera mocnego, męskiego, skłóconego z prawem, który drwi sam z siebie. Za rządów Johnsona odżywa na nowo bunt i protest, w sztuce wyrażami sprzeciwu są pop- i op-art.

Niedawno w San Francisco dziewięć tysięcy osób uczestniczyło w happeningu. Olbrzymia scena była widownią niewiarogodnych wprost rzeczy. Naga dziewczynę obrzucano jajami, Murzyn grał jak szatan na tam-tamie, akrobata wykonywał na trapezie zapierające dech ewolucje. Co chwila eksplozje muzyczne podrywały widzów, którzy wskakiwali na krzesła, wyrywali sobie włosy z głowy, rzucali się z wrzaskiem na estradę. Ktoś zerwał amerykańską flagę i owinął się nią jakby togą.

W tym samym czasie w innych miastach Ameryki miały miejsce podobne happeningi. Wszystkie pod hasłem „inność". A więc nie klejnoty i czarne garnitury, ale wygodne błękitne jeansy, króciutkie spódnice i pantofle Courreges'a. Fryzjerzy niepotrzebni — modne są długie włosy i geste brody. Okryciem mogą być papier, flagi czy plastyk.

W Nowym Jorku na Brodway'u otwiera się coraz to nowe lokale, które zwą się Chetah. Każdy wieczór przynosi ich właścicielom tysięczne zyski. Chetah odwiedzają najznamienitsi przedstawiciele amerykańskiego społeczeństwa. A więc protest artystów Greenwich Village stał się modą.

Angielski happening głosi hasło: „Stając się nowym, innym, wracasz do początku".

W Paryżu Jean Jaquee Lebel lansuje spotkania „wolnej ekspresji" Lebel mówi, że „...happening to wspólnie przeżywane marzenie, wyzwolenie indywidualności, esencja poezji".

Na jednym z ostatnich spotkań na scenę wyskoczyła piękna młoda dziewczyna, ofiarowując siebie jako cel chłopcu, który trzymał półmisek pełen spaghetti. Ofiara została przyjęta. Oczyszczając twarz z makaronu, dziewczyna resztkami potrawy obrzuca całą publiczność szalejącą z zachwytu. Potem zaproszono zebranych, by ciosami siekier rąbali samochód marki Renault, a dojrzałe wiśnie rozgniatano na twarzach tych, których ciosy były najcelniejsze. Dziewczęta skakały po stołach, a piękna kobieta w kostiumie bikini owinięta została taśmą higienicznego papieru. Na wielkim ekranie bez przerwy wyświetlano kilometrowej długości film obrazujący poród. W tym czasie dyskutowano także na temat antykoncepcyjnej pigułki dr Pincusa.

Happeningiem, entuzjazmują się młodzi i starzy snobi.

Stwierdzimy więc fakt: urodziło się nowe dziwactwo, godne sekwencji w Monde Cano.

Opr.: **M. Tymowska**

JAN BĄBIŃSKI

NAD PILICĄ

Nigdy nie mogłem dojść — jak mój gospodarz to robił. Oglądał telewizję, a równocześnie tłoczył na sztancy metalowe kółka do tanich pierścionków. Dorabiał do niezłej w gruncie rzeczy pensji księgowego. Musiał dorabiać. Miał do spłacenia jeszcze kilkanaście rat, za jednorodzinny domek, który wyglądał jak przyzwoita willa. Wieczór był wtedy mglisty, bardzo parny. W takie wieczory cały Londyn ogląda telewizję. Siedzi się wygodnie przed szklanym ekranem, popija herbatkę i wymienia skąpe uwagi. Gospodarz, u którego zatrzymałem się przez tydzień, tłumaczył:

— Wytrzymam. Meta całkiem blisko. Jak tylko spłacę tę chałupę, będę jeździł jak inni morrisem ze Streatham do Kentu w każdy jeden weekend.

Potem westchnął i dodał:

— Ale majątku tu nie zrobiłem.

Spytałem wprost:

— Czy jakiś Polak zrobił w Londynie majątek?

— Są tacy — odpowiedział gospodarz — bez chwili namysłu. Jeden z nich Modnicki, jest nawet moim kolegą z wojska. Razem byliśmy pod Tobrukiem... Kiedyś wybrałem się do Stasia. Nigdy nie zapomnę spojrzenia jego sekretarki — Pan do mister Modnickiego? — zdziwiła się... — Musiałem długo udowadniać, że jej szef na pewno mnie przyjmie. Stasio zrobił fortunę, wybił się, jest kimś. Liczą się z nim nawet Anglicy. Ma dwa hotele i jedną, wielką restaurację. Czy pan zdaje sobie sprawę, co to znaczy mieć dwa hotele w Londynie?

Owszem, zdawałem sobie z tego sprawę. Poznałem później pana Modnickiego osobiście. Lekko przygarbiony, starszy już mężczyzna o pewnym siebie spojrzeniu i nienagannych manierach. Wymieniłem z nim tylko kilka zdań. Zaraz się pożegnał i odszedł. Proszę więc wyobrazić sobie moje zaskoczenie, gdy nadszedł ten list. Pan Modnicki przepraszał, że mnie molestuje, cóż ma jednak czynić, skoro jego rodzina wymarła i w kraju nie zna nikogo. Został sam jeden jak ten palec. Po ostatniej chorobie czuje się źle. Pragnie na stare lata przenieść się do kraju. Uznał że powinien kupić kawałek gruntu, pobudować się i spokojnie czekać swych dni. Chce odpocząć. Niczego tak nie pragnie jak odpoczynku z dala od wielkomiejskiego hałasu, gdzieś w zdrowej okolicy, nad rzeką i wśród lasów. Czy nie mógłbym mu wskazać takiego miejsca?

Przypomniałem sobie, że pan Modnicki jeszcze w Londynie, napomknął coś o piekielnym klimacie. Być może cierpiał na dychawicę, albo co gorsza na astmę. Wyobrażam sobie co przeżywał nad Tamizą w lepkie, wilgotne wieczory. Londyn jest trumną dla astmatyków. Znalazłem się w kłopocie. Obarczono mnie zadaniem tyleż trudnym, co niewdzięcznym. No cóż, rodak w potrzebie, trzeba mu pomóc. Po otrzymaniu drugiego listu, przed miesiącem, zabrałem się na serio do roboty. Jeżdżę więc i szukam dogodnego miejsca. Prawdę mówiąc, wiedziałem od razu, że w rachubę może wchodzić tylko rejon nadpiliczny.

Może Spała?

Rozciągają się tam przepastne, niezmierzone bory, które idą aż hen, po Góry Świętokrzyskie.

Skoro Spała była dobra na letnią rezydencję prezydenta Mościckiego, to czemuż miałaby być zła dla pana Modnickiego? Tę zapomnianą przez wieki miejscowość odkryto w drugiej połowie ubiegłego stulecia. Krążą o tym legendy. Po dziś dzień starzy ludzie opowiadają jak to podczas polowania, utrudzony ponad wszelkie wyobrażenie car Aleksander III zatrzymał się, dla odpoczynku, tuż nad Pilicą w pobliżu pradawnego młyna. Ten młyn stanowił własność rodziny, która nazywała się Spała... Dzień był słoneczny, od Pilicy wiało lekką, jakby morską bryzą. Jak daleko sięgnąć okiem wszędzie stały dęby, brzeziny, przede wszystkim wybujałe sosny o mocno zielonych kolcach. Car nie posiadał się z zachwytu.

Wezwał do siebie margrabiego Wielopolskiego i wyraził życzenie, które było oczywiście rozkazem:

— Chętnie bym tu widział myśliwski pałacyk. Ponjatno?

Drewniany pałacyk stanął w krótkim czasie. Od tej pory carowie upodobali sobie Spałę. Mikołaj II polecił wymurować obszerne zabudowania dla służby i kozackiej straży przybocznej. Drewniany zameczek spłonął w czasie ostatniej wojny. Pozostały jednak solidne, czerwone budynki pomocnicze o bardzo charakterystycznym kształcie. Oglądałem je z bliska. Wyglądają jak nowe. Czas nie ruszył tu niczego. Cegła jest gładka, równa, doskonale wypalona. Jej czerwień świetnie harmonizuje z zielenią drzew. Dziś przyjeżdżają do Spały myśliwi ze Szwecji, Niemiec i Austrii. Polują na rogacze. Przyjeżdżają też wczasowicze z całego niemal kraju. Głównie z Łodzi.

W gęstym poszyciu stoją domki campingowe.

Z daleka sprawiają wrażenie ogromnych, kolorowych muchomorów. Najwięcej tych domków — w Teofilowie. Za Teofilowem droga wiła się wzdłuż Pilicy. Wszędzie las, las, las, doprawdy przed lasem nie było ucieczki. Po prawej stronie rzeki mroczna, głucha puszcza. Po lewej, wysokie wzniesienia, tak podmyte prącymi do przodu falami rzeki, że miejscami tworzyły strome urwiska. Cudna kraina. Widok był niezapomniany. Miał w sobie coś z przełomu Dunajca. Las podchodził do rzeki tak blisko, że jej migocące w słońcu fale wydawały się zielone. Wartka, głęboka, niemal dzika rzeka...

Jeszcze jeden ostry zakręt i roztoczył się widok na piaszczysty brzeg Inowłodza.

Przed tygodniem napisałem do pana Modnickiego w Londynie:

— Odwiedziłem dziś ruiny zamku Kazimierza Wielkiego w Inowłodzu. Z dawnego zamczyska o potężnych basztach i strzelnicach, który był też twierdzą, ostały się fundamenty i resztki obronnego muru. Mur jest niesłychanie gruby, z cegły i kamienia, o dziwnie rdzawej barwie. Tylko usiąść i zadumać się. Jest nad czym. A siedzieć tu przyjemnie. Od rzeki idzie miły, orzeźwiający chłód. Z drugiego brzegu Pilicy dochodzi nie przerwany poszum gęstego lasu. Obok ciągną się łąki i moczary. Miejscowi chłopi utrzymują, że gdy rzeka wyleje, wówczas ruiny zamku stoją na niedostępnej wyspie zewsząd otoczonej wodą. To pewne, że zamek był kiedyś broniony nie tylko murem, ale też głęboką fosą. Jej ślady są wciąż jeszcze widoczne. Słyszałem tu opowiastki o ukrytych pod zamkiem skarbach, o duchach, które się tu snują i straszą w deszczowe, zimne noce listopada. Chyba nocnych marków i poszukiwaczy złota nie brak rzeczywiście, bo cały ten obszar zryty jest jak kretowisko. Żartują tu, że pół Inowłodza zbudowano z cegły i kamienia po tym zamku. W tym żarcie jest chyba sporo prawdy. Z podziemi Kazimierzowskiej twierdzy ma ponoć prowadzić ukryty tunel aż do kościoła Świętego Idziego. Ten kościół stoi wysoko na skale, dominuje nad krajobrazem w promieniu wielu kilometrów. Doprawdy to perła. W swej prostocie, w czystości swych linii jest czymś przecudownym. Wdrapałem się na szczyt kościelnej skały nie bez dużego wysiłku. Trud się opłacił. Przy kamiennym murze okalającym świątynię zamarudziłem dość długo. Co za widok! W dole Pilica. Za nią posępne, niesłychanie gęste bory. Z tyłu puste pola. Ziemia jest tu osobliwa. Kamienista jak na Podhalu o rdzawym kolorze rudy. Sam pejzaż jest czysty, chwyta za serce od pierwszego wejrzenia. Kościół jest jednym z najcenniejszych zabytków sztuki romańskiej w kraju. Pochodzi z XI wieku. Przy swoich nieprawdopodobnie masywnych murach z litego kamienia wygląda jak niezdobyta twierdza. Jesienią hulają na tym wzgórzu wiatry. Biją w wąskie okienka, tak wąskie jak w kazamatach. Prawie do samych murów kościoła przylega pradawny cmentarz. Na płytach szlacheckie herby, obco brzmiące nazwiska, groby powstańców z 1863 roku. Na sąsiednim wzgórzu jeszcze jeden cmentarz. Leży na nim kilka tysięcy żołnierzy Wilhelma II. Ziemia kryje tu prochy Tatarów, Rosjan, Kozaków, Niemców i Francuzów. Most w Inowłodzu spina dwa brzegi Pilicy. Krzyżował się na nim odwieczny szlak ze Wschodu na Zachód. Tędy parły też armie najeźdźców z Zachodu na Wschód. O przeprawę przez Pilicę walczono od niepamiętnych czasów. Podczas pierwszej wojny światowej Niemcy wpadli na iście szatański pomysł. Na szczycie kręglej, mocnej wieży kościoła urządzili wojskowy punkt obserwacyjny. Tymczasem po drugiej stronie rzeki zaszyli się w nieprzebytej puszczy Rosjanie. Do Niemców ukrytych w wieży kościoła walili przez miesiąc z ciężkich armat. W artyleryjskim ogniu pękały mury tej wspaniałej, sakralnej budowli. Zwaliła się kruchta, runęła niezwykłej piękności rotunda, którą prowadziło ciasne wejście przez wieżę.

Po wojnie kościół odbudowano z resztek rozrzuconych wokoło kamieni i cegły. Jakież to dziś zaciszne ustronie. Nigdzie żywej duszy. Śladu jakiegokolwiek życia. Jak doszło do założenia tego kościoła? Czemu nosi on imię świętego Idziego? Historyków już dawno zastanawiał pewien szczegół w biografii Władysława Hermana. Król wystawił dużo kościołów — w Łęczycy, Krakowie, Kłodawie, innych miejscowościach. Wszystkie ku czci świętego Idziego. Czym wytłumaczyć zdumiewającą skłonność Władysława Hermana do jednego tylko Świętego? Rzecz była tym więcej interesująca, że święty Idzi był wówczas w Polsce całkowicie nieznany. Historycy odkryli, że król za wszelką cenę pragnął potomka. Nie mógł się wprost doczekać syna. Więc za poradą jednego z biskupów pchnął wystawne poselstwo do opactwa benedyktynów w Langwedeku we Francji. Wieść niosła, że w opactwie przy grobie świętego Idziego działy się cuda. Królewskie poselstwo złożyło dary w opactwie. Pomogło. Bo tak się złożyło, że zaraz po powrocie poselstwa Judyta, żona Władysława, powiła syna, który wszedł do historii jako Bolesław Krzywousty. Radość, także wdzięczność Władysława Hermana nie miały granic. Król wszędzie, gdzie tylko mógł, wystawiał pyszne, warowne świątynie ku czci świętego Idziego... Przypomina mi się dowcip, który krążył po Łodzi jeszcze przed pierwszą wojną światową.

— Nie jedź pani do Inowłodza — przestrzegano żony fabrykantów, bo tam się od wód zachodzi... Łódzkie gazety były wówczas pełne ogłoszeń zachęcających do wyjazdu nad Pilicę, do Inowłodza. Przyjeżdżano tu nie dla chimery, ani po to, żeby popisać się ekscentrycznością. Jeżdżono do źródeł Inowłodza za poradą najbardziej wybitnych lekarzy. Inowłódz był wtedy znanym kurortem. Słynął z wód mineralnych, o których działaniu rozpowiadano cuda. Więc może Judyta, żona Władysława Hermana piła najzwyczajniej w świecie wodę z inowłodzkich, naturalnych źródeł? Może właśnie te wody jej pomogły i przeszły do legendy?

List wysłałem, a przy pierwszej sposobności zajrzałem do Inowłodza jeszcze raz.

Zatrzymałem się w zagrodzie sołtysa.

Jego chata stoi nad samym brzegiem Pilicy, który nie jest w tym miejscu pokryty piachem, lecz zarośnięty zbitym sitowiem i trzciną. Cicho płyną tylko wielkie rzeki. Nieprawda. Choć Pilica podchodziła tu niemal pod sam próg chaty i jest stosunkowo wąska, to jednak wcale groźnie nie wyglądała. Przeciwnie. Płynęła równo, spokojnie, jakby z pewnym majestatem. Sołtys machnął ręką.

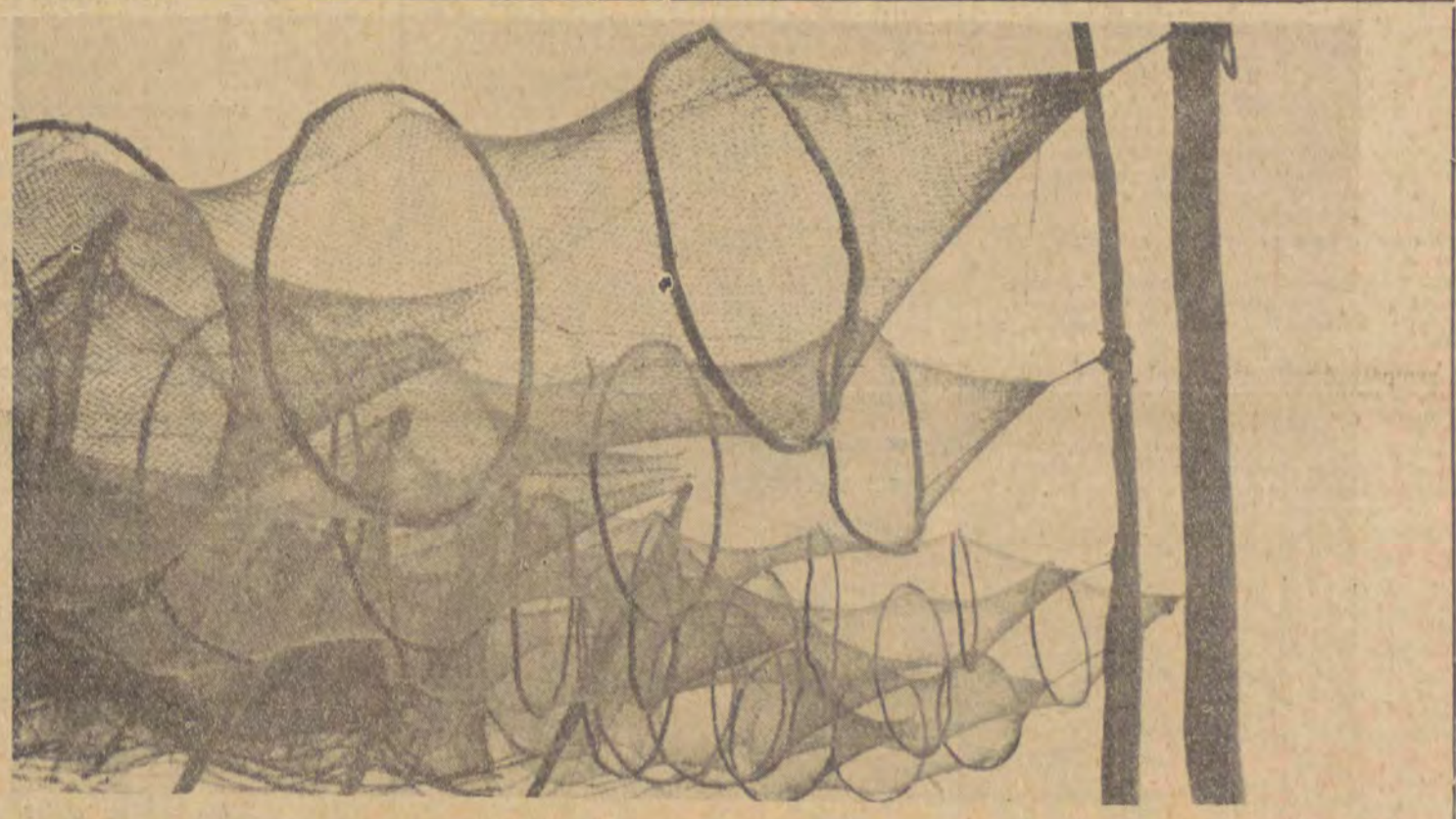

Fot. A. Pukaczewski

Niech tam, zawsze to przyjemnie słyszeć w nocy szum rzeki. Najgorsze są wiosny. Wtedy fale tak łomocą, że nie można zmrużyć oka. Nic wielkiego, można się do tego przyzwyczaić...

Sołtys wiedział niejedno, więc go zapytałem:

— Czyżby tutejsze źródła mineralne już wyschły?

— Dlaczego miałyby wyschnąć? — zdziwił się sołtys. — Jak chorowałem na żołądek, to przez 15 lat piłem tylko wodę ze źródła. Jakby ręką odjął. A i teraz jak ktoś chce zaparzyć dobrej herbaty, to bierze wodę z dolnego źródła...

— To są jeszcze inne źródła?

Sołtys zrobił nieokreślony ruch ręką:

— Ano są. Jest jeszcze źródło u pana Zajączkowskiego. Bije mocno...

Sołtys wskazał mi drogę, objaśniając przy tej sposobności, że włości pana Zajączkowskiego są duże i zajmują kilkadziesiąt hektarów takiej sobie ziemi. Dworek stał na wzgórzu, musiał być kiedyś okazały, ale dni świetności miał już za sobą. Otworzyła mi młoda dziewczyna. Pewnie kucharka. Śliczna, wiotka blondyneczka o piwnych oczach. Ten niesłychanie rzadki typ urody spotyka się tylko w „przywiślańskim kraju". Może miała w swych żyłach krew włoską? Przecież i dziś jeszcze spotyka się w Inowłodzu chłopskie rodziny o nazwiskach brzmiących z włoska — Binio, Madzio... Może miała domieszkę krwi pruskich żołnierzy z 1805 roku, którzy tu przebywali przez kilka lat? Może do jej przodków trzeba by też zaliczyć wyrośniętych Kozaków, skośnookich Tatarów? Wszystko jest możliwe. Inowłódz przez całe wieki był tyglem, w którym mieszały się różne rasy i narodowości. Już przedtem spostrzegłem że inowłodzianki są uderzającej urody.

Blondynka otworzyła drzwi na oścież:

— Proszę, pan Zajączkowski czeka w pokoju.

W ten oto prosty sposób poznałem potomka starego rodu Birencwaigów, którzy władali tą częścią Inowłodza od czasów, zdawać by się mogło, niepamiętnych. Na leczniczych właściwościach miejscowych źródeł połapał się dziadek pana Zajączkowskiego.

— Po kiego licha jeździć do Karlsbadu — mawiał stary Birencwaig — skoro mamy taki sam Karlsbad tutaj pod nosem. — I zaczął rozsyłać butelkowaną „Inowłodziankę" po całym kraju. Otrzymywał medale i odznaczenia. Najwyższy z Sankt Petersburga. Pewnie, że kręcił się za tym interes, ale na tym interesie zyskiwał cały Inowłódz. Wieś wypiękniała, rozrosła się, zaczęła ściągać letników z Łodzi i Warszawy.

Oglądałem górne źródło Inowłodza, zwane ongiś „Karlsbadem".

Źródło jest czynne. Bije jak gejzer. Woda jest tak żelazista, że kamienne koryto, którym spływa jest całe rdzawe. Tyle, że nikt z tego źródła już nie czerpie. Przełknąłem dwa łyki. Woda była cierpka, orzeźwiająca, zimna jak z lodu. Jakież to odległe czasy. Przecież tymi alejkami na wzniesieniu spacerował kiedyś Tuwim. Był zakochany w Inowłodzu. Gdzie dziś rośnie trawa i polne zielska, wznosiły się stylowe pawilony dla letników z miasta Łodzi. Tam, wokół zielonego wzgórza szła polna ścieżka o romantycznej nazwie — aleja westchnień. Wspominał o niej Tuwim. Iluż adwokatów, lekarzy, naukowców spacerowało tędy w młodości. Iluż z nich, może tutaj, w ciszy i samotności odwinęło pierwszą, cienką jeszcze niteczkę, która miała ich potem zaprowadzić do epokowych odkryć.

Pan Zajączkowski na moment przystanął:

— Na rok przed śmiercią przyjechał tutaj profesor Hirszfeld. Pomogłem mu wysiąść z auta. Pragnął jeszcze raz przejść się aleją, na której poznał swą żonę. To właśnie aleja westchnień...

Tegoż dnia napisałem do Londynu:

— Sądziłem, że znam Inowódz jak własną kieszeń. A tu masz, dziś dowiedziałem się, że ta zapomniana przez Boga i ludzi wioska była stosunkowo niedawno prężnym ośrodkiem przemysłowym. Początkowo sądziłem, że padłem ofiarą mistyfikacji. Okazało się, jednak, że wszystko o czym bają tu starzy ludzie, odpowiada prawdzie. Oglądałem dziś rumowisko po olbrzymim piecu hutniczym, który stał nad samym brzegiem Pilicy. Był gigantem widocznym z wielkiej odległości. Co zostało po tej budowie, sprawia do dziś niezapomniane wrażenie. Kamienne mury, które ocalały, mają grubość kilku metrów. Wielki piec hutniczy został wybudowany już w 1835 roku. Potem, wskutek niewyjaśnionych błędów konstrukcyjnych zalały go wezbrane wody Pilicy. W kilkadziesiąt lat później, piec został odbudowany i uruchomiony przez Silbersteina z Warszawy. Prosperował niezle. Żywił się rudą, jakiej tu wszędzie pełno. Pod koniec ubiegłego wieku instalacje wygaszono. Resztki szlaki z tego pieca wciąż jeszcze walają się na pobliskim wzniesieniu. Do tego stopnia zapomniano o istnieniu pieca hutniczego, że przewodniczący miejscowej rady narodowej był tak zdumiony widokiem ogromnego rumowiska, że trudno sobie przedstawić większe zdumienie. Doprawdy, Inowłódz, dawny gród i siedziba kasztelanii, to dziś nieznana wioska, zepchnięta na margines, która utonęła w niepamięci. Ta wieś nie straciła jednak niczego z dawnych uroków. Domy są schludne, w dobrym guście, zbudowane niezwykle solidnie, głównie z kamienia. Pięknie położona wioska pełna samych osobliwości. Czego jak czego, ale powietrza i swobody tu nie brak. Inowłódz czeka na ponowne odkrycie, czeka na swego Kolumba. A miejsca tu dosyć nawet dla najbardziej okazałych budynków. O ziemię też nie trudno. Jest przy tym dość tania, gdyż po części kamienista, niezbyt jest stosowna pod uprawy...

Ten list również wysłałem i czekam teraz na odpowiedź.

Swoją drogą podróże naprawdę kształcą. Paniom jednak pić ze źródeł Inowłodza nie radzę.

JERZY WILMAŃSKI

ZAPROSZENIE

Szef nas nie lubił. My natomiast lubiliśmy szefa, choć był marudny jak wielkie nieszczęście i nieraz przyglądał się nam podejrzliwie, czy nie przechowujemy w zanadrzu jakiegoś kawału. Szef nas nie lubił, ponieważ nie lubił kawałów, a już sama nasza obecność w biurze zakrawała na pospolity witz.

My lubiliśmy szefa, bo stosunkowo szybko odkryliśmy, że tego niezłego i wrażliwego malarza, skóra dyrektorska uwiera i męczy jeszcze bardziej niż nas nisko uposażone skóry urzędnicze. Lubiliśmy go, bo i jego obecność w biurze była niezłym dowcipem.

W chwilach wyjątkowej chandry szef umykał do pracowni piętro niżej, gdzie zapamiętale malował któryś z kolei pejzaż Parku im. Poniatowskiego, my zaś lądowaliśmy na parterze, gdzie w barze „Record" rozpoczynaliśmy rytualną rozmowę.

— Postaw piwo — mówiłem.

— A co, przewróciło się — odpowiadał Leszek. Po czym prosił o porter.

— Porter jest? — pytał.

— Nie ma — odpowiadała niezmiennie barmanka.

— A jest piwo pełne? — pytałem ja.

— Jest tylko pusta beczka po piwie pełnym — huczał Leszek.

— Mogliby panowie zmienić płytę — krzywiła się zwykle barmanka, nie wiedząc, że i jej kwestia należy do repertuaru.

Na górze czekały nas sprawy pilne i mało ważne i szef uspokojony swoimi ugrami i żółcieniami, patrzył znów podejrzliwie, niuchał demonstracyjnie i gorączkowo szukał dla nas zajęcia.

Księgowy Szewczyk wachlował się ogromnymi uszami, których Leszek wciąż nie mógł mu wybaczyć.

— Kto mu wymyślił takie uszy, kto, powiedz? — dopytywał się ciągle, unosząc do góry wskazujący palec.

Księgowy Szewczyk zawsze wachlował się uszami, gdy szef szykował dla nas dodatkową robotę.

Tego dnia były to zaproszenia. Komuś tam zdarzyło się namalować więcej obrazów, niż mógł pomieścić w domu, i nasze biuro organizowało mu wystawę. Autor życzył sobie, aby na otwarcie, zwane z cudzoziemska wernisażem, przybył cały świat artystyczny. Z doświadczenia wiedzieliśmy, że z reguły „świat" nie przybywa i wysyłanie zaproszeń trzem setkom malarzy, właściwie nie ma sensu. Niestety, byliśmy w tej opinii zupełnie odosobnieni.

Gruba księga adresowa zaczynała się od A.

— Zaczynamy — mówił Leszek — kogo masz na A. Jest może Andriolli, Arcimboldi albo Angelico? Ostatecznie może być Axentowicz.

— Mam tylko Andrysiaka, Antczaka i trzech Andrzejewskich — odparłem.

— Bardzo mi przykro — zasmucił się Leszek — ale my tych panów nie znamy, a przecież studiowaliśmy historię sztuki.

— Dokładnie studiowaliśmy — zgodziłem się — a o panu Andrysiaku ani du-du.

— Zaproszeń nie będzie — zdecydowaliśmy.

Na B. było podobnie.

— Masz może Boscha albo Bacciarellego?

— Nie widzę — martwiłem się. Jest tylko pan Bielecki i Białek Gracjan.

— To przykre — narzekał Leszek. — Imię nie wchodzi w rachubę, a zresztą tamten był Cezarem. Zaproszeń nie będzie.

I nie było. Ponieważ ani na C, ani na D, ani na dalsze litery alfabetu nie znaleźliśmy w grubej księdze adresowej interesujących nas nazwisk (był co prawda jeden Noakowski, ale nie ten i nawet nie rodzina), zarządziliśmy losowanie.

Z każdej litery wylosowaliśmy po dwu delegatów i tej niewielkiej reprezentacji wysłaliśmy zaproszenia.

Nazajutrz po wernisażu zaczęły się reklamacje. Szef wysłał nas na remanent do Galerii, a sam przyjmował wyrazy oburzenia.

Reakcja trzech kompanii plastyków była dla nas niezrozumiała. Przychodzili z awanturą ci, którzy od szeregu lat na inne wystawy, poza własnymi, w ogóle nie chodzili. Powoli zaczęliśmy zdawać sobie sprawę, że odbywa się tu jakieś niezrozumiałe misterium, którego istoty nam, młodym barbarzyńcom, nie dane jest zgłębić. Czuliśmy przez nisko uposażoną skórę urzędniczą, że kopnęliśmy jakąś piramidkę z klocków, niezdarną może, ale ustawioną z wiarą, chyba i z nadzieją.

— Panie Szewczyk — pytałem, wpatrując się w uszy księgowego — co jest z tym całym bajzlem, bo ja nic nie rozumiem.

— Oj, człowieku — wachlował się Szewczyk — przecież oni po prostu chcą być zauważani. Mnie, tobie, na tym nie zależy, ale dla nich mieści się to w zawodzie. To przecież artyści.

— E tam, tacy artyści.

— Nieważne jacy, ale przecież artyści.

Więc niby jak to jest. Oni chcą być zauważani — wszyscy? Trzy kompanie? Starzy i młodzi, z dyplomami i bez? Autorzy pejzaży i autorzy kiczowatych neonów? Chcą być zauważani i odnotowywani już teraz, niejako na bieżąco?

Na bieżąco. Więc chyba są świadomi, że w ich kartotekach nikt nie znajdzie Boschów i Holbeinów, świadomi, że tylko garstka trafi kiedyś na kartki encyklopedii. Chcą potwierdzenia, niecierpliwie, już teraz — dopóki jeszcze ich płuca przerabiają azot i tlen.

Zlekceważona przez nas kartka papieru, której im odmówiliśmy, była przecież potwierdzeniem uczestniczenia w tym zwariowanym misterium. Poczuli się dotknięci, że ktoś o nich zapomniał, dziś świadomi, że jutro... świadomi, że tylko krzyk i oburzenie mogą zasygnalizować ich obecność, że ich gromadzone z wysiłkiem prace, płaskie i ciche, nie będą wołać nigdy, nie będą wołać jutro, kiedy ich wiązadła głosowe zalegnie nieruchome powietrze, kiedy przestana ich gnieść i uwierać ich niskogatunkowe skóry artystów.

Bo właściwie żądali niewiele. Szło w końcu o pisemne potwierdzenie, że uczestniczą, że jeszcze są. Mieli do tego prawo.

Zakwestionowaliśmy to prawo nieuważnym, niecierpliwym gestem, wrażliwi i czuli na ciasnotę i ucisk naszych własnych niewygodnych skór.

(Z tomu opowiadań „Krzywa latarnia" który w najbliższym czasie ukaże się nakł. Wyd. Łódzkiego).

Rys. P. Picasso

JAN HUSZCZA

OTPOCZYNIENIE

(Wiersz milenijny)

Od słotnych słów,
od ranego czasu mżących w biurze,
od gazetowego balbotu

abo
od kawiarnianych rzyci,
od mamotliwych szczaków w okularach,
komięgą rado po rzece przez gwozd

ku słowarzowi,
ku słowom osędziałym
z paproci wabiącym,
gdzie
na świecie zbożny pobyt,
po żywocie rajski przebyt

Dzicy z drugiej połowy XX wieku

Szklane dźwięki,
wydmuchiwane ze wszystkich instrumentów,
bez przerwy spadają na kamienie
— wodospad
przełamał potok na dwie części,
aby przyzywała okolica.

Zmęczeni kilkukilometrowym marszem,
liczni zatrzymują się tutaj
i milczą z wdzięczności,
stojąc długo w zielonym chłodzie,
chłonąc łaskę...

A oni podjechali na samochodach
aż pod rozedrganą ścianę z wody muzycznej,
z chłodu zielonego
— wysiedli,
wołając: „Jak tu fajnie, cholera!"

Klepiąc swoje babki po ruchliwych pośladkach,
ustawili je między sobą,
aby zrobić grupowe zdjęcie
na pamiątkę, że byli...

Potem rozłożyli się na kocach
wokół butli z barwioną wódką
i puszki ze szprotami.

Nim sięgnęli po napełnione szklaneczki,
jeszcze przedtem rozgęgolili radio.

I więcej nie istniał wodospad!

ŻARTY

A ten,
w koszuli o krótkich rękawach,
w płóciennych spodniach,
to kto?

To — mówię — wybitny poeta,
tłumaczy świat,
tłumaczą jego wiersze nawet na francuski.

A ma wóz?
Ma własną willę?

Za co — mówię — ma mieć wóz?
Z czego — mówię — ma mieć willę?

To co nam pan zawracasz głowę,
że to ktoś ważny?!
My takich żartów — mówią — nie lubimy...

(Z tomu pt. „Żarty, satyry, fraszki", który ukaże się nakł. Wydawnictwa Łódzkiego)

ANDRZEJ PŁAUSZEWSKI

OSNOWA 66

Niedawno ukazał się kolejny numer „Osnowy" [1]) almanachu literackiego, jedynego jak do tej pory w pełni literackiego wydawnictwa łódzkiego. Zapoczątkowane przed czterema laty, zaczyna nabierać charakteru periodyku. W odstępach mniej więcej rocznych, ukazały się cztery numery. Ta regularność bardzo cieszy i pozwala żywić nadzieję na zwiększenie częstotliwości ukazywania się tego, jakże potrzebnego w środowisku łódzkim, pisma.

Przystępując do trudnego zadania, omówienia ostatniego numeru „Osnowy", pragnę przypomnieć fragment słowa od Redakcji, którym opatrzony został pierwszy numer. Sformułowany tam został zakres i charakter pisma: „Idea takiej publikacji zrodziła się z konkretnej potrzeby. Potrzeby nie tylko samych literatów, ale całego środowiska twórczego Łodzi. I aczkolwiek problematyka Łodzi i jej regionu w niej dominuje, to jednak charakter jej nie może być inny, niż tylko ogólnopolski."

Program bardzo ambitny i słuszny. Tymczasem 4 nr. „Osnowy" sprawia nam pewien zawód, pozostawia uczucie niedosytu. Pozbawiony został osnowy owych spraw ogólnych i przez to stał się nieco jednostronny i niepełny. W pełni natomiast występuje problematyka łódzka. Wypełnione są nią wszystkie publikacje tego tomu.

Zawartość tomu można by podzielić na kilka działów (niektóre zresztą wyodrębnione w nagłówkach): twórczość oryginalna — prozatorska i poetycka, wspomnienia i rozprawy, eseje oraz bogaty dział recenzji; kronika kończy przegląd dorobku literackiego łódzkiego środowiska.

Wśród twórczości prozatorskiej zwracają uwagę dwie pozycje. Pierwsza, to zamknięte w kompozycyjną całość opowiadanie Bernarda Sztajnerta „Marsz żałobny na śmierć bohatera". I druga, fragment powieści Władysława Rymkiewicza „Obiad u Scheiblerów".

Twórczość poetycka jest reprezentowana dość skromnie. Drukują swe wiersze poeci, którzy znani są już czytelnikowi łódzkiemu z pełniejszych publikacji w Bibliotece Poetów i odrębnych własnych tomików: T. Chróścielewski, K. Frejdlich, T. Gicgier, J. Koprowski, J. Królikowski, Z. Skibiński, M. Wawrzkiewicz. Z młodych wstępujących w szranki poetyckie: Andrzej Biskupski, Rymwid Maciej Kononowicz i Kazimierz Swiegocki.

Z artykułów na szczególną uwagę zasługuje rozprawa Wandy Lipiec „Stefania Skwarczyńska — szkic jej łódzkiej biografii", w całości poświęcona związkom wspaniałej uczonej z naszym miastem.

Prof. Stefania Skwarczyńska, naukowiec o rozległych zainteresowaniach badawczych w zakresie nauk o literaturze, wybitny pedagog, organizator humanistycznego ruchu naukowego na terenie Łodzi, jeden z założycieli i twórców Uniwersytetu Łódzkiego, obecnie jego profesor, obchodziła w roku bieżącym 40-lecie pracy naukowej. Artykuł W. Lipiec pozwala nam poznać prof. Skwarczyńską nie tylko jako wybitnego uczonego, ale również jako wspaniałego człowieka o wielkim sercu.

W dziale wspomnień: o dawnych Chojnach dowiadujemy się od Feliksa Bąbola, a o pierwszych powojennych latach Gimnazjum Miejskiego w Łodzi od Mieczysława Woźniakowskiego.

Ciekawy, prowokujący do dyskusji artykuł zamieszcza Henryk Anders. „Piękne czy użyteczne" za tym pytaniem kryją się rozważania na temat funkcjonalności i estetyki standardowych produktów przemysłu. Czy te dwie rzeczy wykluczają się wzajem, czy dopełniają? Jaka jest rola artysty plastyka w procesie produkcyjnym? Na te wszystkie pytania stara się odpowiedzieć autor artykułu.

Dział eseistyki przynosi dwie ciekawe prace Ryszarda Stefańczyka i Sławomira Świontka. Esej Stefańczyka „Witold Wandurski — twórca łódzkiej sceny robotniczej" w oparciu o dość duży materiał rzeczowy przypomina stosunkowo mało znane i zapomniane dzieje robotniczego ruchu artystycznego na terenie Łodzi w latach 1923—1928.

Szerokie omówienie dorobku literackiego łódzkich satyryków daje nam esej Świontka „O satyrze w ogóle i o satyrykach łódzkich". Dobrze się stało, że podjęto tę w pełni udaną próbę całościowego przeglądu dwu dziesięcioletniej twórczości satyrycznej. W jednym względzie rozczarował nieco autor, narobiwszy uprzednio apetytu. Pierwsza część tytułu pozwalała spodziewać się teoretycznego omówienia satyry jako określonej formy wypowiedzi artystycznej, ewentualnie jej historycznego rozwoju. Tymczasem autor skwitował to zagadnienie dosyć pobieżnie. Nie umniejsza to jednak wartości głównej części pracy.

Dwugłos o teatrze Krystyny Wojtasik i Władysława Orłowskiego, mimo pewnych odchyleń brzemieniowych, staje się jednym głosem wołającym o ambitniejszy repertuar dla łódzkich scen.

I wreszcie bogaty dział recenzji. Znalazły się tu recenzje publikacji łódzkich twórców: M. Piechala, H. S. Dintera, L. Gomolickiego, St. Czernika, J. Huszczy, R. Łobody, J. Koprowskiego, T. Chrościelewskiego, W. Jażdżyńskiego i kilku poetów, których tomiki ukazały się w Bibliotece Poetów 1964.

Kończąc, polecam wszystkim ten tom „Osnowy", pozwalający czytelnikowi na zorientowanie się w dorobku twórczym łódzkiego środowiska literackiego.

---

[1]) „Osnowa", Almanach literacki. Wydane z funduszów Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi — Wydział Kultury, Związek Literatów Polskich, Oddział w Łodzi. Kolegium Redakcyjne: M. Piechal, J. Koprowski, S. Kaszyński, S. Brucz. Wydawnictwo Łódzkie 1966; cena zł 10.

WANDA NOWAKOWSKA

WSPOMNIENIE O MARIANIE MINICHU

(W pierwszą rocznicę śmierci)

Rok 1935 to ważna data w dziejach kultury Łodzi. Data narodzin placówki na miarę europejską — Muzeum Sztuki.

Właściwym jej twórcą był doc. dr Marian Minich, który wybrany z dniem 1 stycznia 1935 roku w drodze konkursu na stanowisko dyrektora Muzeum im. J. i K. Bartoszewiczów, z chaosu zbiorów znajdujących się na I piętrze łódzkiego „Ratusza pod Zegarem" stworzył galerię z prawdziwego zdarzenia.

Podstawę jej stanowiły różnorodne eksponaty z puścizny J. K. Bartoszewiczów, które wraz z darami i zakupami Gminy Miejskiej, tworzyły całość nieprzemyślaną i przypadkową. Świadczyć o tym mogą zachowane zdjęcia wnętrz ówczesnego Muzeum, czy choćby słynna historia obrazu Wierusza-Kowalskiego. Obraz ten dla swojej wybitnej wartości przytwierdzony do ściany łańcuchami, po ekspertyzie dokonanej z inicjatywy dyrektora Minicha okazał się — falsyfikatem).

Dyrektor Minich, kipiący nadmiarem energii i pasji twórczej, rozpoczął swoje wielkie dzieło od reorganizacji galerii.

Z właściwą sobie przenikliwością odrazu dostrzegł możliwości przyszłego rozwoju Muzeum w pełnym wykorzystaniu znakomitej kolekcji międzynarodowej sztuki modernistycznej, zgromadzonej dzięki inicjatywie Władysława Strzemińskiego przez Grupę Artystów Plastyków „a.r." i wchodzącej w skład zbiorów muzealnych.

Kolekcja ta, zawierająca między innymi dzieła Picassa, Légera, Marcousisa, Ozenfanta, Arpa i Ernsta, stała się podstawą dzisiejszego Muzeum Sztuki — chluby Łodzi.

Myśląc o dyrektorze Minichu widzę Go jednak nie tylko jako twórcę łódzkiego Muzeum Sztuki. Wspomnienie o Nim kojarzy mi się zawsze z problemem bardziej osobistym. Pojawia się On w moich myślach, ilekroć usiłuję zdać sobie sprawę z przyczyn wyboru mego zawodu — historyka sztuki.

Było to wiosną 1945 roku. Magazyn Muzeum Sztuki mieścił się wówczas w gmachu dzisiejszego Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego. Czasem wchodziłam tam z dyrektorem Minichem. Do obrazów znanych z dzieciństwa przybyło wiele nowych, które pragnęłam zobaczyć.

Kiedyś, z trudem torując sobie drogę pośród tych bezładnie jeszcze nagromadzonych zbiorów, doznałam olśnienia. Przyczyną tego była doskonała reprodukcja „Mony Lizy".

W muzealnym magazynie nawiązał się dialog trwający do dziś. Po chwili podszedł do mnie dyrektor Minich i spojrzał przenikliwie na moją wzruszoną twarz. Byłam Mu wdzięczna za milczenie.

W wigilię, 24 grudnia tegoż roku, doręczono mi sporą paczkę.

Z szarych papierów wyłonił się powoli zamglony pejzaż, opiewany tylekroć przez poetów uśmiech. Przesyłce towarzyszyła kartka „Kochanej Wandusi — M. Minich".

(Reprodukcja była identyczna ze znajdującą się do dziś w zbiorach Muzeum).

Był to początek naszej przyjaźni. Początek „wieczorów pod Gioconda", którym ona patronowała, zawieszona nad moim biurkiem. Pozostały mi z nich luźne notatki, pisane w nocy, już po odrobieniu lekcji. Pragnęłam w nich utrwalić choć część tych wspaniałych, tętniących życiem i barwą opowiadań, starając się zachować ten urok bezpośredniości, jakim promieniował dyrektor Minich w rozmowie.

Mówił o wszystkim z zaangażowaniem, z temperamentem, często przejaskrawiał pewne fakty, szczególnie kiedy wypowiadał się na temat najżywiej Go wówczas obchodzący — tworzenia nowej galerii.

Droga do pełnej realizacji Jego wizji Muzeum łódzkiego na skalę światową nie była łatwa. Na ogół nie był lubiany, nawet ci, którzy doceniali Jego walory intelektualne, wszechstronną wiedzę i oddanie sprawie Muzeum — nie umieli wybaczyć Mu wybuchowości, krańcowości w formułowaniu sądów, a przede wszystkim poczucia własnej wartości poczytywanego za pychę.

A on z kolei nie mógł znieść ograniczoności i głupoty, przejawów kołtunerii i konwenansu. Za mało milczał.

Cel jednak osiągnął. W 1948 roku nastąpiło otwarcie galerii Muzeum Sztuki w Łodzi w dawnym pałacu Poznańskich. Zachwyt wzbudzała zwłaszcza ekspozycja międzynarodowej sztuki nowoczesnej, nowatorska w pomyśle i rozwiązaniu, a szczególnie jedna z sal projektu Władysława Strzemińskiego. Obok dzieł wybitnych artystów europejskich, w dziale tym znajdowały się również obrazy wielkich malarzy łódzkich: Strzemińskiego, Karola Hillera — przyjaciela dyrektora Minicha oraz rzeźby Katarzyny Kobro.

Przez kilka lat wykładał dyrektor Minich na Łódzkim Uniwersytecie.

Na Jego wykładach z metodologii sztuki zetknęłam się po raz pierwszy z poglądami Wölfflina, Dvoráka, Riegla, Focillona i wielu innych jeszcze najwybitniejszych historyków i teoretyków sztuki. Były to wykłady niezwykle interesujące i zawierające ogromny ładunek wiedzy.

Po ukończeniu studiów pracowałam przez trzy lata w Muzeum Sztuki. Były to lata trudne: 1953–1955.

Dyrektor Minich czuwał nad całością działalności swoich pracowników z godną podziwu umiejętnością.

Najwięcej korzystałam podczas tzw. szkolenia po galerii. Dyrektor wtajemniczał wówczas nas, asystentów, w problemy opisu i interpretacji dzieła sztuki. Do dziś pamiętam Jego mistrzowskie analizy „Śmierci rabbiego" i „Moich rodziców" Adlera. Często zastanawialiśmy się nad unistycznymi koncepcjami Strzemińskiego.

Równie ciekawe były wykłady w dyrektorskim gabinecie. Tam, w okresie, kiedy studenci historii sztuki na uniwersytetach nie wykraczali poza granice impresjonizmu (w najlepszym razie), my otrzymywaliśmy podstawy wiedzy o sztuce XX wieku.

Dyrektor Minich prowadził także tzw. szkolenie ideologiczno-fachowe. W jego ramach poznawaliśmy poglądy na sztukę Norwida i Prusa, Stasowa i Czernyszewskiego, Zoli i Taine'a.

Entuzjazm dyrektora Minicha dla osobowości Stanisława Witkiewicza skłonił mnie wówczas, do zajęcia się twórczością autora „Sztuki i krytyki u nas". Był to punkt wyjścia mojej późniejszej rozprawy doktorskiej, dla której metodologicznym wzorem stała się znakomita monografia dyrektora Minicha o Andrzeju Grabowskim.

Troszczył się jednak nie tylko o nasz poziom naukowy. Kontrolował pracę oświatową, radził i pomagał w trudnościach.

Ustalał z nami trasy, po których wędrowały w teren wystawy reprodukcji dzieł najwybitniejszych artystów, interesował się programem odczytów i pogadanek wygłaszanych w świetlicach robotniczych, sprawdzał poziom naszego oprowadzania wycieczek po galerii.

Pamiętam, miałam wtedy niedzielny dyżur, gdy zgłoszono wycieczkę budowniczych Pałacu Kultury w asyście członków Prezydium Rady Narodowej i Komitetu Łódzkiego partii.

Zatelefonowałam do dyrektora: „Co robić?"

„Oprowadzić" — zdecydował krótko.

„Ja? Za nic w świecie!"

„Nic się nie bój. Zaraz przyjdę".

Przez cały czas był obecny, uśmiechał się z daleka, dodawał ducha, czułam, że jest dobrze.

Wymagał, ale umiał ocenić i umiał chwalić. Zależało Mu zawsze, aby nasza praca budowała Muzeum, ale i rozwijała nas samych, abyśmy dążyli do realizacji „ideału własnej osobowości", który każdy nosi w sobie.

Pozostają po człowieku — jego dzieło i pamięć.

Po dyrektorze Minichu pozostało Muzeum Sztuki i pamięć o Prawdziwym Człowieku.

SPEKTAKLE tygodnia

FILM

ZACHĘTA

„Dwaj z Texasu"
14 seansów — 4144 — 90%

TEATR

POWSZECHNY

„Pies ogrodnika", 2 spektakle — 1320 — 97%

NOWY

„Panna młoda", 5 spektakli — 1500 — 75%
„Ali Baba i 40 rozbójników"
1 spektakl — 350 — 50%

NOWY Mała Sala

„Ojciec", 3 spektakle — 300 — 50%

JARACZA 7.15

„Taka noc nie powtórzy się więcej", 3 spektakle — 1266 — 100%
„Kłamczucha", 2 spektakle — 844 — 100%

TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ

„Pobożna Marta", 3 spektakle — 425 — 50%
„Anioł na dworcu",
6 spektakli — 1622 — 98%

OPERETKA

„Noc w Wenecji",
3 spektakle — 1860 — 60%

KSIĄŻKI NADESŁANE

Waldemar Babinicz — LUDZIE TO POWIEDZIELI, WŁ, cena zł 12.

Edward Kopczyński — TRUDNE EDUKACJE, WŁ, cena zł 12.

Władysław Wójcik — PO OBYDWU STRONACH RÓWNIKA, LSW, cena zł 15.

R. L. Stevenson — WYSPA SKARBÓW, Iskry, cena zł 9.

Stefan Otwinowski — SAMOSĄD, WŁ, cena zł 10.

Władysław Kowalski — WINO, LSW, cena zł 58.

Tadeusz Margul — MITY PIĘCIU CZĘŚCI ŚWIATA, WP, cena zł 18.

Julian Lider — WOJNY I DOKTRYNY WOJENNE XX WIEKU, WP, cena zł 16.

Tadeusz Hołuj — OPOWIADANIA WYBRANE, WŁ, cena zł 25.

Osnowa — Wydawnictwo Łódzkie, cena zł 10.

Thomas Valentin — ZAGUBIENI, Czytelnik, cena zł 20.

KRONIKA Antytelewizyjna

7 DNI TŁUSTYCH

Planowanie jest widocznie rzeczą trudną nie tylko w naszej gospodarce. TV również ma z tym jakieś wyjątkowe kłopoty. Miniony tydzień w stosunku do przeciętnych możliwości był przeładowany. Całe szczęście, że zbiegło się to z ochłodzeniem.

Niezbyt dokładnie obserwowałem przebieg festiwalu opolskiego ze względu na usterki. Odniosłem jednak wrażenie, że dobrzy poeci coraz częściej próbują pisania tekstów piosenek. Ze skutkiem dodatnim. To zjawisko pozytywne, wróżące lepszy poziom w tej dziedzinie. Może i poeci łódzcy spróbują współpracy z kompozytorami? Skamandryci nie wstydzili się kontaktów z estradą, awangarda ich unikała, co było zresztą konsekwencją jej założeń artystycznych. Pio senka na tym tylko traciła. Podobały mi się teksty W. Szymborskiej, St. Grochowiaka, B. Ostromęckiego, T. Śliwiaka. Zresztą, szczegółowymi sprawozdaniami zajęła się prasa, jej sprawozdawcy, którzy byli na miejscu.

„Listy do Delfiny" (zwanej w listach do Lubomirskiego Sorrento) prowokują do zastrzeżeń. Aby stały się zrozumiałe dla większej ilości widzów, wymagały jednak jakiegoś komentarza. Nie wiadomo, jaka myśl przyświecała autorce wyboru z listów tak bogatych w egzaltację i myśl, godzących ekstazę ze sprawami przyziemnymi. A reszta jest konsekwencją tej niejasności: niczego nam nie narzucili Aleksandra Śląska i Adam Hanuszkiewicz, niewiele ujawnił ze swoich możliwości Gustaw Holoubek. Szkoda zmarnowanej okazji. Skoro zaś mówimy o listach Krasińskiego, może warto byłoby stworzyć z nich także spektakl dla młodzieży, mam na myśli listy wieszcza do młodziutkiego przyjaciela, Adama Potockiego. Przyjaźń bowiem odgrywała wielką rolę w życiu Krasińskiego. Gdzieś wyznał: „Przyjaźń jedna nie więdnieje; jest to, zapewne, do miłości, jak sosna lub cyprys do róży, ale też wiecznie zielone..."

Gawęda! Oto forma, jakiej nadal bardzo potrzebuje telewizja. Nie zawsze udają się gawędy wilków morskich, niezbyt też udała się gawęda historyczna znanego publicysty, Aleksandra Małachowskiego, poświęcona Janowi Potockiemu. Wypadła zbyt oschle, co nie oznacza, że nie liczymy na ten szczęśliwie pomyślany cykl „Stare życiorysy". Wydaje mi się, że gdyby zaczęto od interpretacji wiersza Lechonia o Potockim, rzecz nabrałaby właściwego posmaku.

Mity, mitologia, jej rola w życiu jednostki i społeczeństwa — to zawsze ważne i skomplikowane sprawy, w które każdy z nas jest na swój sposób zaangażowany. Kapitan Nut z „Żeglarza" Jerzego Szaniawskiego to mit idealnie przylegający do wyobraźni rutyniarskiej w myśleniu, uczuciach, wartościowaniu.

„Żeglarz" to sprawa także tych, którzy na mitach zyskują lub tracą. Uwagę na sobie skupiali przede wszystkim Jacek Woszczerowicz jako Nut i Władysław Kowalski w roli Jana. Reżyseria Józefa Słotwińskiego wydobyła wszystkie walory sztuki, bo i jej poezję.

III Festiwal Teatrów Dramatycznych zapoczątkowała szesnastowieczna „Żałosna i prawdziwa tragedia pana Ardena" z Teatru Starego w Krakowie. Dobrze, że mogliśmy ją obejrzeć, gdyż teatromani muszą znać dzieje sztuki dramatycznej. Podobnie jak w swoim czasie z pożytkiem dla siebie obejrzeliśmy „Natrętów" naszego Józefa Bielawskiego (1739—1809). Miało się jednak nieodparte wrażenie, że rzecz wygląda znacznie okazalej i barwniej na scenie, że jest tam dowcipniejsza. Na małym ekranie było jej za ciasno, choć trudno cokolwiek zarzucić realizacji: reżyserii, scenografii i aktorstwu.

Rozrywkowy konkurs miast — również trzeci — wywoływał uczucia, podobnie, jak i w poprzednich wypadkach, nader sprzeczne. I znowu temat — wczasy i wywczasy — dawał duże możliwości dla pomysłów, rozwiązań. Katowice temat potraktowały niemal reportażowo, obnażając ubóstwo życia wczasowego. (Zawsze utrzymywałem, że na wczasach trzeba liczyć zwłaszcza na siebie i na umiejętność przeżywania przyrody, nie zaś na działalność k. o.!).

Jury słusznie pierwszeństwo przyznało Wrocławowi. Audycja miała coś z klimatu „Kabaretu Starszych Panów" (co z nimi?), zawierała liczne akcenty dowcipnej satyry, wymierzonej nietylko przeciwko beztroskiej jeździe, której tragiczne skutki każdego tygodnia notuje prasa. Znakomicie spisywał się „dziadek Klemens", relikt wileńsko - polsko - wrocławski, jakiś niby Charon.

A w ogóle to coraz częściej śmiejemy się z tego, co raczej budzi zgrozę, świadczy to o jakiejś społecznej niemożności. Mam w tym wypadku na myśli piosenkę ze Szczecina o bijącym rodzeństwie Dzwonów. Ja się nie śmiałem!

Jan Huszcza

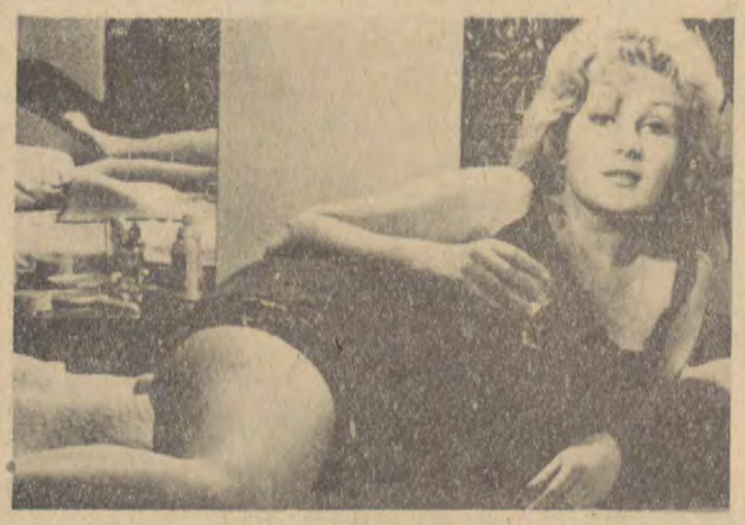

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Dwa filmy rozrywkowe o gatunku lekkiej komedii filmowej: „Gangster i urzędnik" oraz „Panie inspektorze!". I dwa krańcowo różne temperamenty twórcze. Jugosłowiański zespół uparł się, żeby zrobić komedię na siłę, chce rozśmieszyć widownię za wszelką cenę. Efekty tych heroicznych zmagań z materiałem i wrodzonym brakiem poczucia humoru są opłakane. Czujemy się jak biesiadnicy przy olbrzymim, lecz marnie zastawionym stole słuchający gospodarza, który niezdarnie i bez wdzięku opowiada stare, wyświechtane dowcipy. Nie chcę posądzać Jugosłowian o brak poczucia humoru w ogóle (przynajmniej na niwie kinematografii), ale film „PANIE INSPEKTORZE!" nie przynosi im dobrej sławy. Dawno już nie wynudziłam się tak bardzo, jak właśnie na tym niewypale. Nie dziwi mnie nawet, że producenci zdecydowali się puścić w świat ten film, poza granicę własnego kraju. Polskiego widza ostatniego okresu niewiele bowiem potrafi zadziwić. W eksporcie „Pana inspektora" upatruję cel komercjalny. Dlatego — powtarzam — rozumiem ich intencje. Ale jedno jest dla mnie niepojęte: dlaczego ludzie dokonujący wyboru i oceny filmów sprowadzanych dla Polski dali się nabrać na ten marny towar. Wolno innym sprzedawać „buble". Tylko dlaczego właśnie my mamy je kupować? Jak gdyby naszych własnych było dla nas mało... „Panie inspektorze!" to film ciężkawy, bez polotu, straszliwie nudny, z fatalnymi dialogami i wcale niezabawny. I choć to komedia, to w gruncie rzeczy — nie masz humoru u „Inspektora!". Na całe szczęście poprawiłam sobie wrażenie drugą komedią filmową — amerykańskim „GANGSTEREM I URZĘDNIKIEM". Nie ma on co prawda ambicji społecznej krytyki gospodarczych nadużyć, za to posiada autentyczny, niekłamany humor. Można pośmiać się z niego szczerze, zwłaszcza w drugiej części filmu Frank Tashlin pamięta przez cały czas, że zabawny dialog nie zwalnia komedii ekranowej od obowiązku komizmu obrazowego. Nawiązuje więc z jednej strony do wspaniałych osiągnięć wielkich komedii okresu niemego (komizm sytuacyjny, konstrukcja postaci), a z drugiej do doświadczeń filmu animowanego (doskonały obraz spłaszczonego przez drzwi człowieka — człowiek w murze). Tashlin pamięta, że komedia musi mieć odpowiednie tempo, jeśli nie chce działać niczym kołysanka. Toteż w jego filmie bez przerwy coś się dzieje. Wątek gangsterskokryminalny użycza mu swej atrakcyjności, wprowadza napięcie do świata absurdu, wytwarza się uroczy bałagan, atmosfera czystego szaleństwa. Czasem dochodzi do ostrej kpiny — tak dzieje się w wypadku improwizacji młodego nowoczesnego poety — naprzód w gronie snobizujących się niezbyt mądrych słuchaczo-gapiów, potem za kratkami celi więziennej. Otrzymują tu cięgi rozpoetyzowani szarlatani i ich rozsnobizowani słuchacze. Doskonała jest cała sekwencja pościgu w Instytucie Zdrowia, obfitująca w przezabawne pomysłowe gagi. Świetny jest Danny Kaye — jeden z najbardziej popularnych obecnie amerykańskich komików filmowych. Tych dobrych momentów, scen, sytuacji, dowcipów, można by wyliczyć tu znacznie więcej. Nie uczynię tego. Wolę zamilknąć i zachęcając życzyć zaintrygowanym (oby!) Czytelnikom dobrej zabawy na tym filmie. A porównując go z poprzednim, mam ochotę zawołać: pójdź „inspektorze" — ja cię uczyć każę... Oczywiście humoru.

MARIAREL

Opole po raz czwarty

Dalszy ciąg ze str. 1

Wojciechem Młynarskim. Z początku przeważał ten pierwszy, stawiając na wadze „Balladę o Zenku". Dowcipny, mocno przysolony tekst zdobył u słuchaczy większy poklask niż „Ballada o siedmiu nożach" Młynarskiego. Po przerwie jednak szalka przeważyła w drugą stronę. Na popularną „Balladę o Cysorzu" kapitalną repliką była spowiedź knajacko-cwaniacka pt. „Och, ty w życiu". Młynarski przeszedł tu sam siebie. Śpiewał — jak by to rzekł pan Lucuś — niepokojąco, niepowtarzalnie, nienagannie i niesłychanie. Aha, już bym zapomniał: i rewelacyjnie.

Nic więc dziwnego, że w ogłoszonych następnego dnia wynikach Młynarski wyprzedził Chyłę, który zadowolić się musiał drugą nagrodą.

KOMU GRALI TRUBADURZY

24 czerwca program festiwalowy zainaugurował Koncert Młodości, w którym wzięło udział pięć zespołów mocnego uderzenia z łódzkimi Trubadurami na czele. Igrzyska te miały być punktowane przez jury i publiczność, atoli w końcowym efekcie publiczność została wykiwana i werdykt zapadł bez jej udziału. Koncert zakończył się wielką manifestacją rozżalonej widowni; przeraźliwe gwizdy i okrzyki trwały ponad dziesięć minut, zmuszając konferansjera do ucieczki z placu boju. Nie dziwię się widowni. Bez wątpienia miała słuszność. Przecież powodem ekscesów, było skrócenie występu Trubadurów o pięć pozycji, przewidzianych początkowo w programie. Ten zabieg chirurgiczny pozbawił łodzian pierwszego miejsca, — które — nie wiedzieć czemu — dostało się histerycznym Skaldom z Krakowa.

A oto laureaci drugiej nagrody, czterech sympatycznych, dziewiętnastoletnich łodzian, z maturami, krótkimi włosami i kompletem klepek w głowie: Sławomir Kowalewski — gitara basowa, Jerzy Krzemiński — gitara solowa, Krzysztof Krawczyk — gitara rytmiczna oraz perkusista — Marian Lichtman. Trubadurzy wyjadą w najbliższym czasie za granicę i nagrają płytę. Biorąc pod uwagę ich subtelny, daleki od rozwydrzenia stosunek do muzyki, wyrokuję, że już niedługo staną na czele polskiego big-beatu.

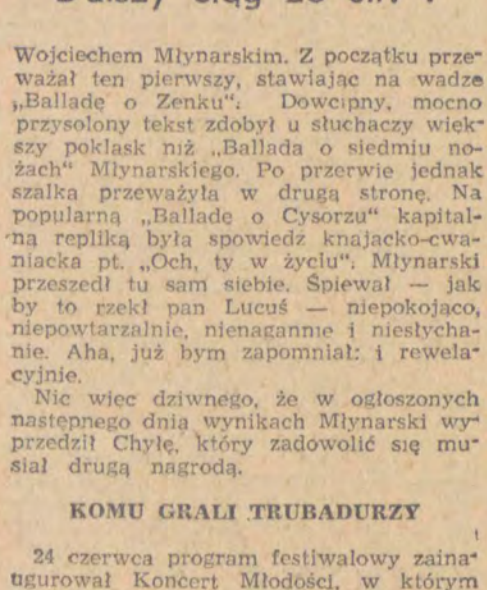

Skoro mowa o Trubadurach, powiem przy okazji o innych łódzkich bohaterach Opolskiego Festiwalu. A więc Tadeusz Woźniakowski — sława uznana, potwierdzona w kraju i za granicami, jeden z nielicznych piosenkarzy z dyplomem Wyższej Szkoły Muzycznej. Zaprezentował trzy piosenki: „Lepiej nie sprawdzajmy" Pawłasza-Bianusza, „Tam, gdzie byłem" Majewskiego — Słowikowskiego oraz „Taką babkę" Wasowskiego — Kondratowicza i Zaperta. Był dysponowany. Na tle wielkiej, ale dyskretnej orkiestry głos jego brzmiał dostojnie i po męsku, na przekór ckliwym pojękiwaniom niektórych słodkich tenorków i piskliwych sopraników.

Równie udaną produkcję ma na swoim koncie Krzysztof Cwynar, aczkolwiek wątpić należy, czy zestaw śpiewanych przez niego tekstów i melodii należy do najszczęśliwszych. Jedno jest pewne: Cwynar szybko dochodzi do czołówki polskich wokalistów — jest muzykalny, ma dobre ucho i szeroki głos, jeśli coś niedomaga, to wibrato, przesterowane, nierówne, za ostre, przydające niejednej fra-

zie operowego zadęcia. Niech pan z tego zrezygnuje, panie Krzysiu. Przecież pan jest Cwynar, a nie Ładysz.

I wreszcie trzecia łodzianka (język polski — twór niedoskonały: chciałem powiedzieć: trzeci łodzianin, ale to kobieta) — Krystyna Wawrzkiewicz. Wystąpiła obciążona tremą i przydomkiem debiutanta, jako że na poprzednim festiwalu nie miała zaszczytu... Wypadła dobrze, powyżej przeciętnej z Opola. Jej „Wieczorne spotkania" podobały się bardziej, niż — na przykład — pieśń Stachuny Matysiaka w kreacji pana Wojnickiego (tego od jabłuszek, pełnych drzemki).

Być może — poza tą trójką i solistką Trubadurów — Sławą Mikołajczyk — wystąpił jakiś łodzianin w „Mikrofonie dla wszystkich". Ja jednakże tej imprezy nie widziałem i widzieć nie chcę. Za jakie grzechy? Dość mam amatorstwa u naszych zawodowców, bym miał szukać zawodowstwa w osobach biednych, spędzonych do Opola amatorów. Ja tam taki pasjonat nie jestem. Niechaj bawią się sami.

PISORZ TO MA KLAWE ŻYCIE

Podtytuł ten, jak państwo zdążyli zauważyć, jest modyfikacją pierwszego wersu chyłowskiej „Ballady o Cysorzu". Trawestacja posłuży mi do wprowadzenia Was bocznymi drzwiami na konferencję prasową, jaka miała miejsce w hotelu Toropol, dnia 25 czerwca, a więc w trzeci dzień Festiwalu. Jezu najdroższy, co się tam działo. Pośród kłębów dymu, oparów kawy i denerwującego skrzypu krzeseł — rozpętała się dyskusja publicystów nad poziomem polskiej piosenki. Podtatusiałe, czterdziesto-pięćdziesięcioletnie pany (młodsi dziennikarze milczeli z szacunkiem) zaczęli się znęcać nad big-beatem, nad tekstami i muzyką „artystyczną", nad aranżacjami, poziomem instrumentalistów i ogółem piosenek. Padały błyskotliwe sformułowania, pełne wdzięku dowcipy, pełne jadu złośliwości; napuszeni niebywale spekulanci przeprowadzili podział utworów na setki różnych rodzajów: a to piosenka artystyczno-podwórzowa, a to pseudo-cwaniacka, to znów quasi-big-beatowa. Ten chciał tak nagradzać, inny tak. Jeden pragnął zniszczyć trąbki, drugi saksofony. Konferencja zmieniła się wreszcie w sesję naukową, gdzie „pisorze" wystąpili w charakterze muzykologów absolutnie obeznanych z tajnikami kompozycji i harmonii. Nastrój stężał. Piosenka, a więc zabawa, żart, dowcip, rozrywka — zmieniła się w jakiś ponury stwór, w którym grzebali ze śmiertelną powagą przedstawiciele kulturalnej prasy, wszyscy ci, co za tydzień (może nawet dwa tygodnie) wypocą z siebie — nie bez trudu — te sześć, siedem stron intelektualnej papki, dętej i drętwej a uczonej. Do przytomności, ale tylko na chwilę, przywołał towarzystwo, przypadkiem tu zabłąkany kompozytor — Marek Sart. Jego zdaniem dyskutować o muzyce bez muzyków, to tyle, co budować domek bez murarzy. Ale jego zdanie utonęło w ciżbie głosów. Znowu zerwał się demon dyskusji, na którą przyszedłem tylko po to, by się dowiedzieć, że

wynikiem wysokiego jury następujące nagrody festiwalu otrzymały:

1. „Powrócisz tu" Figla — Kondratowicza w wykonaniu Ireny Santor,
2. „Dokoła noc się stała" Sławińskiego — Osieckiej w interpretacji Łucji Prus,
3. „Nie chodź tą ulicą" Kaszyckiego — Śliwiaka przy udziale Joanny Rawik.

WESOŁE MIASTECZKO CZY SMUTNE?

Opole jest miastem. Jest wielkim miastem przez trzysta sześćdziesiąt dwa dni w roku. Przez trzy pozostałe dni natomiast, w czasie Festiwalu, kiedy to odrzuca w kąt swoje problemy i wyciąga obie ręce na przyjęcie drogich gości — staje się wesołym miasteczkiem. Targowiskiem próżności. Jarmarkiem tanich cudów i szmacianych lalek. Areną dla cwaniaków i ich rodzin, ściągających licznie kawalkadą luksusowych wozów. To już nie Opole. To jakaś dzielnica Warszawy, gdzie wszystko, co nie pachnie wielkomiejskim blichtrem, zostaje zepchnięte na margines, poza zasięg jupiterów, za burtę. Dochodzi do paradoksu: opolanie są obcy w swoim mieście; ci przyjezdni czują się jak w domu. Opolanin jest wyrzucany — nierzadko ordynarnie, za kołnierz, kopniakiem z tyłu przez chamskiego portiera i szatniarza — z kawiarni, restauracji, barów i hoteli. Wstęp wzbroniony — bawi się festiwal! Żeby wejść, trzeba mieć żetony! Choćby sala była pusta, choćby liczna gwardia piosenkarzy chrapała już smacznie w wydzielonych domach i kwaterach, ty, opolaninie, do magicznej strefy światła dostać się nie możesz. Jesteś obcy. JESTEŚ OBCY!

Byłem świadkiem, jak w czasie turnieju kabaretowego, dnia 23 czerwca, o godzinie 22.30, w zarezerwowanym dla władz miejskich rzędzie rozsiadła się wygodnie artystyczna elita. Widziałem, na własne oczy, z dystansu czterech metrów, jak szukał miejsca przewodniczący Prezydium MRN w Opolu — gospodarz Festiwalu, mgr Henryk Tabor.

Tym się właśnie Opole różni od Sopotu.

W Sopocie Festiwal musi wciskać się w miasto. W Opolu miasto musi wciskać się w Festiwal.

ZARAZ SKOŃCZY SIĘ NARKOZA

Przełamało się lato. Dni będą teraz coraz krótsze. IV Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki też się przełamał; ciąży ku końcowi. Jeszcze tylko koncert finałowy, parada przebojów, złota seria nagrodzonych pieśni. Jeszcze tylko raz, jak w piosence, niezrównany Lucjan Kydryński i niezastąpiona Irena Dziedzic.

Wąskimi mostami nad Odrą ciągnie zwarty tłum. Setki, tysiące ludzi. Przez głośniki słychać próbę mikrofonów: cztery, pięć... sześć... W amfiteatrze miejsca zapełniają się szybko. Telewizja już na posterunku. Paparazzo szykują flesze do ataku. Na wzgórzu niebieski wóz Polskiego Radia i kamery Kroniki Filmowej. Zaklęty okręg jaskrawego światła na estradzie. Za kulisami tłok, krzątanina; muzycy zderzają się z dziennikarzami, soliści — ze służbą porządkową. Organizatorzy zacierają ręce:

— Udał się Festiwal,

— Udał, udał.

I rzeczywiście udał. Był zapięty na ostatni guzik. Był dobrze wyreżyserowany, a pod względem wokalno-muzycznym — wyrównany, jak chyba nigdy dotąd. Kilkunastu świetnych wykonawców, kilkanaście dobrych tekstów i melodii. Niebanalne aranżacje, doskonałe orkiestry i zespoły. Nie można też żywić większych pretensji pod adresem jury. Werdykty były słuszne, potwierdzające w zasadzie opinie neutralnych fachowców.

Ale...

Opole — mimo wszystko — ktoś oszukał. Ktoś sobie zadrwił z gościnności gospodarzy. Ktoś, żeby wznieść imprezę na wyżyny — sprowadził miasto do parteru, zepchnął na peryferie, do podrzędnych knajp i mlecznych barów przy bocznych uliczkach.

Dzięki temu pan Z. pił do późnej nocy przy pustym stoliku, a pani M. nikt nie stąpał po odciskach. Dzięki temu pan K. mógł kląć na głos „Pod Pająkiem", jako, że nikt z obcych nie słyszał: sami swoi.

Oj, nawiało tego roku nieszczęść na Opole. Najprzód czarna seria — wyrwany ząbek, skaleczona nóżka, pewien operator spadł z drabiny, pewna grupa gwiazd i meteorów naraziła się milicji, a pan S., co przegiął pałę, został pozbawiony karty uczestnictwa.

Potem dwa balony pękły w słońcu i dwa trzasnęły od deszczu, jako że zmieniła się pogoda.

Jeszcze potem wzięli się za włosy: przyjezdny cwaniak z miejscowym łobuzem. Łobuz przegrał — tamten miał obstawę.

Ale koncert finałowy już za nami. Jeszcze dzień, dwa, wyjadą goście, przygasną girlandy, flagi z masztów, zżółkną transparenty, wiatr potarga plakaty na słupach, butny kelner straci dumną minę — znów napiwki będzie brać od swoich.

Czarowny krąg światła zacznie się kurczyć, zmaleje, przygaśnie, zostanie po nim chybotliwy płomyk — drobniutka iskierka, którą, za rok, znowu się rozdmucha w wielki pożar, ku radości krajowej piosenki.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Fot. W. Parys.

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

WSCHODZĄCE GWIAZDY PIOSENKI FRANCUSKIEJ

● Mireille Mathieu urodziła się w dniu 22 lipca 1946 roku w Awinionie. Ma aż dwanaścioro braci i sióstr. Wiekszość czasu spędzała jeszcze niedawno na wychowywaniu swego młodszego rodzeństwa. Od dzieciń

Georgette Lemaire

stwa lubiła śpiewać. Kiedyś zauważyła, że ma głos podobny do głosu Edith Piaf. Trzy lata temu Mireille zapisała się na kursy śpiewu. Aby je opłacić rozpoczęła pracę w fabryce. Brała udział we wszystkich dostępnych dla niej konkursach piosenkarskich. Osiągała na nich doskonałe wyniki. Zastanawiała się właśnie poważnie nad wyborem zawodu, kiedy wzięła udział w konkursie organizowanym przez francuską telewizję. Została wyróżniona spośród stu kandydatek. Jest już na drodze do kariery. Jej marzenie: zdobyć większe mieszkanie.

Mireille Mathieu

KONGRES POŚWIĘCONY ŻYCIU I TWÓRCZOŚCI STENDHALA

● Kolejny międzynarodowy kongres Stendhalowski organizowany przez Association des amis de Stendhal (Stowarzyszenie Przyjaciół Stendhala) odbędzie się w tym roku w Paryżu w dniach 15, 16 i 17 września. Sesje poświęcone zostaną m. in. takim zagadnieniom jak: Stendhal i teatr, oddziaływanie twórczości Stendhala na tereie międzynarodowym, Stendhal i jego paryscy przyjaciele.

BORIS VIAN — ŻARTOWNIŚ I WESOŁEK CZY WIELKI PISARZ?

● Potrafił robić niemal wszystko: grał na trąbce, pisał powieści i sztuki teatralne, statystował i był aktorem w filmie, z wykształcenia inżynier, był wynalazcą, malarzem, konferansjerem, stolarzem, dziennikarzem i przekładowcą, autorem piosenek i ich wykonawcą, autorem słuchowisk radiowych, choreografem baletowym i librecistą operowym, zawsze poetą. Dobrze znany w kołach artystycznych Paryża stał się lokalnym geniuszem z Saint—Germain—des-Prés, bożyszczem powojennej młodzieży paryskiej, atrakcją dla turystów.

Zbyt wiele spraw go interesowało, zbyt wielorakie i w różnych dziedzinach zaznaczały się jego talenty, by traktowano go na serio. Gdy mając lat 39 umarł w 1959 roku (zawsze powtarzał: „Nie dożyję lat czterdziestu") był już prawie całkowicie zapomniany wraz ze swymi powieściami, opowiadaniami, sztukami teatralnymi i piosenkami.

Dopiero ostatnio Vian święci swój pośmiertny triumf. Ukazują się płyty z nagraniami jego piosenek, wydawcy rzucają na rynek księgarski jego powieści, dzieła sceniczne, opowiadania i wiersze. Tym razem Vian, jak nigdy przedtem, wzbudza głębokie zainteresowanie krytyków i pierwszych swych biografów. I im więcej upływa czasu od jego śmierci tym wyraziściej rysuje się sylwetka Viana — ciekawego człowieka, wielkiego pisarza, którego talent krył się za sztuczną czy naturalną, twarzą wesołka, jazzowego muzyka i żartownisia.

Boris Vian miał lat 26 gdy pojawił się w kręgach paryskiej młodzieży wyznającej Sartre'owski egzystencjalizm. Grał wówczas na trąbce w artystycznych piwnicach, uchodząc za śpiewającego filozofa i filozofującego śpiewaka, egzystencjalistycznego clocharda, sentymentalnego anarchistę. Ale niespokojny duch tego młodego człowieka o blond włosach i bladej twarzy, chorego od dzieciństwa na serce, pchał go w różnych kierunkach twórczej działalności. Gdy jeden z wydawców chciał zamówić u jakiegoś Amerykanina kryminalny bestseller amerykańskiego typu, Vian powiedział: „Czy to musi zrobić Amerykanin? Daj mi 14 dni, a napiszę ci książkę". Napisał powieść w ciągu dziesięciu dni. Ukazała się drukiem w roku 1946 pt. „J'irai cracher sur vos tombes" (Napluję na wasze groby), jako książka amerykańskiego autora o zmyślonym przez Viana nazwisku — Vernon Sullivan. Była to powieść pełna scen erotycznych, alkoholu i sadyzmu. Tak przynajmniej wtedy ją oceniano. Dziś jednak kiedy dzieło Viana poddane zostało głębszej analizie, stało się widoczne, że nie te elementy są w niej najważniejsze, lecz że głównym jej akcentem jest walka z kolorowym rasizmem, a zagadnienia te autor znał dobrze ze swych podróży po Ameryce. Książka wywołała wielkie poruszenie, okrzyczana została jako pornografia, wywołała protesty. Stała się tak jak Vian zamierzał, bestsellerem. Rozeszła się wśród czytelników w nakładzie 100.000 egzemplarzy. Ale pięć następnych powieści Viana (m. in. „Chloe", „Jesień w Pekinie") wydanych już pod jego własnym nazwiskiem, nie wywołało specjalnego zainteresowania. Jego fantasmagorie, wisielczy humor, jego melancholia, fantastyka, niektóre efekty w typie comicsów, gry słów i nonsensowne dialogi — nie trafiały wówczas do gustów czytelnika.

Powieść „Napluję na wasze groby" została sfilmowana. Ale realizatorzy nie liczyli się z intencjami autora. Vian, poszedł obejrzeć film zrealizowany na podstawie jego własnej książki. Niestety, to co ujrzał nie było tym czego oczekiwał. Jego dzieło zostało zwulgaryzowane. I Vian do tego stopnia przejął się tym, że dostał ataku serca. Zmarł nie obejrzawszy filmu do końca. Jeden z literackich krytyków powiedział potem, że Vian, człowiek który żył między rzeczywistością a fikcją, padł ofiarą swego powieściowego bohatera.

ŚMIERĆ KUBAŃSKIEGO POETY

● W wieku lat 72 zmarł w Hawanie wielki poeta kubański, Manuel Navarro Luna. Jego największym dziełem jest opublikowany w roku 1936 poemat pt. „Tierra herida". Jak podkreśla prasa kubańska, śmierć Manuela Navarro Luna jest bolesnym ciosem dla Kuby, dla rewolucji i dla poezji kubańskiej. Był to poeta głęboko związany ze swym krajem i sprawą ludu kubańskiego.

IV MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FILMÓW FANTASTYCZNO-NAUKOWYCH

● W Trieście w dniach od 9 do 16 lipca odbędzie się IV Międzynarodowy Festiwal Filmów Fantastyczno - Naukowych. Spodziewany jest udział wielu krajów. Zgłosiły już swe uczestnictwo w Festiwalu: Związek Radziecki, Francja, Stany Zjednoczone, Japonia, Hiszpania, Wielka Brytania, Czechosłowacja.

WYSTAWA PLASTYCZNA KOBIET

● W Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Paryżu urządzono wystawę dzieł, wykonanych wyłącznie przez kobiety. Znajdują się tu obrazy, rzeźby, grafika wystawiane przez sto pięćdziesiąt artystek z ośmiu krajów.

Jeźdźcy cyrkowi, rzeźby wykonane przez Ruth Weindlich

„WUJASZKOWIE z FESTIWALU"

● Richard Balducci, dziennikarz i scenarzysta, filmował Festiwal w Cannes. Głównym aktorem tego filmu stał się trzy i półletni brzdąc, jego siostra, będąca jedną z filmowych gwiazd. Jeden z producentów filmowych zaproponował nawet matce małego Gillesa kontrakt. Gdyby się zgodziła, producent miał nakręcić film z jej synkiem w Hollywood. Ogólnie stwierdzano, że

Gilles Pelletier

Gilles Pelletier. Nie był to właściwie debiut tego malca, gdyż już poprzednio występował w krótkometrażówce „Drewniany konik". Ale dopiero w Cannes mały Gilles pokazał co potrafi. Zachowywał się z takim wdziękiem, a równocześnie z taką naturalnością, że swą „grą" przed obiektywem zadziwiał wszystkich uczestników Festiwalu. Szeptano sobie, że mały ma twarz tak mimiczną i tak doskonale wychodzi na filmie, że jest lepszym aktorem niż Gilles ma niesłychanie żywą mimikę, jest dzieckiem nad wiek rezolutnym i że wprost idealnie nadaje się na aktora w filmach zwłaszcza wesołych. Richarda Balducci nazywał stale wujaszkiem, a wkrótce nawet poważni producenci, „grube ryby" przemysłu filmowego stali się dla małego Gillesa po prostu „wujaszkami". Toteż film, w którym główną rolę na Festiwalu w Cannes grał Gilles Pelletier będzie miał tytuł: „Wujaszkowie z Festiwalu".

POLONICA

LEC W „PŁOMIENIU"

Znowu mamy do zanotowania kolejny sukces „Myśli nieuczesanych" Stanisława Jerzego Leca. Wydawany w Pradze miesięcznik „Plamen" (Płomień) przynosi w numerze 6, tego roku nową pozycję myśli Leca w przekładach Gabriela Lauba. Dodajmy, że nie jest to pierwsza prezentacja Leca na łamach praskiego miesięcznika. Mieliśmy już okazję w tej rubryce odnotować każdorazowe ukazanie się jego „myśli nieuczesanych" w „Płomieniu", jak również utworów innych polskich pisarzy oraz artykułów o polskiej literaturze, które „Plamen" zamieszczał. Dodajmy wreszcie, że miesięcznik ten jest okazem pod względem układu graficznego.

KSIĄŻKA O POLSCE

Pod tym tytułem ukazała się w hamburskim czasopiśmie „Die Welt der Literatur" (z 9 czerwca br.) recenzja Valentina Polcucha o książce Karla Hartmanna „Polen". Przypomnijmy, że Hartmann jest autorem wydanej przed paroma laty publikacji „Teatr polski po drugiej wojnie światowej" (Das polnische Theater nach dem zweiten Welt-Krieg), która spotkała się z dobrym przyjęciem u krytyków. Również obecna jego książka o Polsce, mająca charakter małego kompedium, oceniana jest pozytywnie. Valentin Polcuch pisze, że winna się ona znaleźć w ręku każdego, kto pragnie zorientować się w sytuacji Polski współczesnej, zwłaszcza w jej osiągnięciach na polu szkolnictwa, nauki, sztuki i literatury.

WŁOSKA POLONISTKA

W Turynie zmarła, w wieku lat osiemdziesięciu, polonistka i zasłużona tłumaczka Cristine Agosti. Zmarła należała w r. 1918 do Komitetu Pomocy Polakom pn. „Pro Polonia", a w latach późniejszych była bibliotekarką w Instytucie Polskim przy Uniwersytecie Turyńskim. Z jej licznych prac przekładowych należy wymienić następujące pozycje: „Irydion" Krasińskiego, „Kordian" i „Mazepa" Słowackiego, „W pustyni i w puszczy" oraz „Quo vadis" Sienkiewicza, „Placówka" Prusa i „Straszny dziadunio" Rodziewiczówny. Cristine Agosti przebywała w Polsce, głównie w Warszawie, Krakowie i Zakopanem.

WSZYSTKO O TYSIĄCLECIU

Otrzymaliśmy 5 (majowy) numer czasopisma „Begegnung mit Polen", które od kilku już lat ukązuje się w Düsseldorfie (NRF). Numer poświęcony został tysiącletniej rocznicy państwa polskiego i znajdujemy w nim między innymi: artykuł prof. Mariana Zychowskiego „U kolebki państwa polskiego", artykuł prof. Konstantego Grzybowskiego „Powstanie polskiego hymnu narodowego", dalej przekład „Jeszcze Polska nie zginęła" z podaniem nut, artykuł Karla Schneidera „Wejście Polski w historie Europy", wreszcie tablice dziejów naszego kraju, zestawiona przez jednego z redaktorów pisma, Kurta Schnöringa. W dziale literackim opublikowano wiersze Aleksandra Fredry, Tadeusza Różewicza i Jana Koprowskiego oraz fragment „Krzyżaków" Henryka Sienkiewicza. Ponadto, jak zwykle, i tym razem znajduje się w piśmie obfita kronika wydarzeń kulturalnych oraz recenzje książek, dotyczących problemów polskich lub niemieckich.

ZAMIAST NOTATNIKA KULTURALNEGO

Przeważnie sejmikowanie nie przynosiło wiele dobrego naszej polityce narodowej. Historia uczy, że najczęściej burdami, rebeliami i konfederacjami kończyły się nasze sejmiki a nierzadko i sejmy.

Ale zmieniły się czasy, ludzie i obyczaje. Kontynuujemy tradycje narodowe z przezornym optymizmem, bacząc, by nie uronić niczego, co szczytne i nie przegapić niczego, co pouczające.

Podczas ostatnich sejmikowych obrad przeżyłem nawet chwilowy wstrząs; wydawało mi się bowiem, że gdzieś w drodze przez historię zatraciliśmy nasz osławiony temperament, który tak bujnie rozkwitał nam i tak sprawnie rozbijał wszystkie zbiorowe poczynania.

Wstrząs szybko minął. Na Ogólnołódzkim Sejmiku Kulturalnym obradowano wprawdzie spokojnie i rzeczowo, ale czuło się wewnętrzny temperament i pasję.

Nauka zaczerpnięta z doświadczeń dziejowych nie poszła w las. Piękna narodowa cecha — temperament — nie zginęła! Niech żyje!.

Otóż czuło się w przemówieniach sejmikowych wewnętrzny żar, ale i odpowiedzialność obywatelską za losy kultury łódzkiej, która po okresie kopciuszkowskim (nie mylić z kościuszkowskim), po okresie odrabiania niezawinionych zapóźnień kulturalnych, zaczyna nam rozkwitać.

Szczęśliwie przebrnęliśmy przez okres zaspokajania pierwszych potrzeb kulturalnych. Zaspokajanie rozbudzonych głodów estetycznych i sięganie do coraz szlachetniejszej strawy duchowej (proszę mi wybaczyć tę terminologię kulinarną); te potrzeby „drugie" upowszechniają się nam prawidłowo.

Jest powód do radości ale i fura zmartwień. Dobrnęliśmy bowiem do granicy, której nieprzekroczenie grozi zjadaniem własnego ogona.

Zaspokojone potrzeby mają to do siebie, że rodzą następne, a te znów następne itd., co jest motorem postępu.

Rozpędu upowszechniania, apetytów chłonnego kulturalnie odbiorcy nie da się powstrzymać w naszym mieście. Przeciwnie. Rozpęd nabiera przyśpieszenia. Na Camusa i Mrożka nie trzeba już sztucznie organizować widowni. Instytucje i przybytki uciech kulturalnych rosną. Kluby i świetlice nie są przeładowane, chodzi tylko o ich prawidłowe rozmieszczenie i gdzieniegdzie trochę pracy nad podniesieniem poziomu imprez. Narodowy Teatr może obsłużyć całe województwo, rzecz więc polega jedynie na usprawnieniu komunikacji i atrakcyjnym repertuarze.

Zachodzi jednak pewna współzależność między wzrostem (poziomym i pionowym) mas korzystających z dóbr kulturalnych a wzrostem twórców tych dóbr. Ta współzależność ma swój wyraz w sile i dojrzałości łódzkich środowisk twórczych, które jako skutek i zarazem przyczyna sytuacji kulturalnej miasta, również stanęły przed granicą, której nieprzekroczenie grozi regresem.

Rozrost łódzkich środowisk twórczych jest faktem, który w połączeniu z szybkim rozwojem odbiorcy (jest tak szybki, że nasze oceny przeważnie bywają spóźnione, a zatem fałszywe) nie tylko gwarantuje, lecz również zmusza do włączenia kultury łódzkiej w szeroki nurt kultury narodowej. Jest to niejako organiczna konieczność.

Zarówno w reprezentatywnych jak i autorytatywnych wypowiedziach na Sejmiku problem ten znalazł wiele miejsca i duże zrozumienie. Sejmik ujawnił, że nadszedł odpowiedni czas, by zająć się tą sprawą.

„Wyjście w Polskę", to stworzenie szerszych podstaw do działalności twórców. To imprezy o charakterze ogólnopolskim, to salony wystawowe umożliwiające organizowanie większych wystaw, to periodyk literacki łączący Łódź z Polską i odwrotnie, to „Odgłosy", pismo społeczno-kulturalne, ale rozchodzące się w większej objętości i nie tylko w Łodzi oraz województwie, to kontakty łódzkich twórców z twórcami innych miast za granicą, to... Niełatwa, i dość kosztowna impreza, wymaga wiele trudu i samozaparcia zarówno od twórców jak i mecenasów.

Ale cóż, odizolowanie przeszło siedemsettysięcznego miasta od narodowej kultury, jest oczywistym anachronizmem, niezależnie od tego, czy jest to reguła, czy wyjątek.

P. Żołoda

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

RAY BRADBURY

Ucieczka przed końcem świata

Nad doliną przeleciał chłodny deszcz, zmoczył kukurydzę w polach na zboczu wzgórza, postukał po słomianym dachu chaty. Od deszczu pociemniało dokoła, ale kobieta z uporem w dalszym ciągu rozcierała ziarna kukurydzy między dwoma płaskimi kołami z zastygłej lawy. Gdzieś w zapadającym zmierzchu płakało dziecko.

Hernando stał i czekał póki nie przestanie padać deszcz, by znowu można było wyjść z drewnianym pługiem w pole. W dole rzeka, burzliwa, toczyła mętno-brunatną wodę na poły z piaskiem. I jeszcze jedna rzeka — pokryta asfaltem szosa — zastygła w bezruchu i leżała pusta, mokra, błyszcząca. Już przeszło godzinę nie przejeżdżał tędy żaden samochód. Niezwykłe to było i zadziwiające. Od wielu lat nie było takiej godziny, by jakiś samochód nie zatrzymał się w pobliżu i by ktoś nie zawołał:

— Hej, ty, zrobimy ci zdjęcie!

W jednej ręce u takiego gościa — aparat, w drugiej — moneta.

I jeśli Hernando wolno szedł do nich z odkrytą głową, zostawiwszy kapelusz na polu, czasem krzyczano:

— Nie, lepiej będzie w kapeluszu!

I machali rękami, a na rękach błyszczały im różne złote przedmioty — i takie, które wskazują czas, i takie, po których można poznać gospodarza, i takie, które nic nie znaczą, tylko błyszczą w słońcu niczym oczy pająka. Wtedy odwracał się i szedł po kapelusz.

— Czy coś nie tak, Hernando? — usłyszał głos żony.

— Si. Droga. Coś się stało. Coś niedobrego. Droga nigdy bez powodu nie opustoszeje.

Powoli wyszedł na drogę i stał, i słuchał, jak cicho dzwoni asfalt pod uderzeniami deszczu.

I nagle, jak za jakimś skinieniem — pojawiły się samochody. Setki samochodów, całe mile samochodów rozpędzonych, przejeżdżających obok niego. Wielkie, długie, czarne, auta ze wściekłym rykiem jechały na północ w stronę Stanów Zjednoczonych, nie zmniejszając szybkości na zakrętach. I dudniły, i trąbiły bez przerwy. Wszystkie były wypełnione ludźmi do ostatniego miejsca, a twarze tych ludzi były takie, że u Hernanda wszystko wewnątrz zamarło i ucichło. Odszedł dalej od szosy i patrzył na przejeżdżających. Liczył samochody tak długo, póki się nie zmęczył. Pięćset, tysiąc samochodów przejechało obok niego, a w nich dziwne, niepokojące twarze. Ale one migały zbyt szybko i dlatego nie można było wszystkiego dokładnie rozpoznać.

I znowu zrobiło się cicho i pusto. Zniknęły szybkie, długie, niskie samochody z otwartymi dachami. Umilkł w oddali ostatni klakson.

Droga opustoszała.

Wyglądało to jak pogrzeb. Ale tak niesamowity, niezwykły, bowiem zbyt opętańczy był ten ich pęd wciąż na północ, na północ, na jakąś nieznaną, ponurą uroczystość. Dlaczego? Hernando pokiwał głową i w zamyśleniu otarł dłonie o spodnie.

I w tym momencie ukazał się osamotniony ostatni samochód. Nie wiadomo dlaczego, ale wszystko wskazywało na to, że on jest właśnie ostatni. Był to bardzo stary „Ford", toczył się z góry po asfaltowej drodze wśród chłodnego, rzadkiego deszczu, otoczony kłębami pary. Spieszył się jak tylko mógł. Wydawało się, że za chwilę rozleci się w kawałki. Zobaczywszy Hernanda, stary samochód zatrzymał się — był zardzewiały, pokryty błotem, a chłodnica syczała i warczała z wysiłkiem.

— Senior, czy nie ma pan wody?

Za kierownicą siedział dwudziestoletni mężczyzna w żółtym swetrze, białej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem i w szarych spodniach. Deszcz zalewał otwarte wnętrze samochodu, młody kierowca był cały mokry, zmokły też pasażerki — było ich pięć, siedziały ściśnięte tak, że nie mogły się nawet poruszyć.

Hernando skinął głową.

— Przyniosę wody.

— Och, bardzo prosimy, prędzej! — krzyknęła jedna z dziewcząt.

W tym cienkim głosiku było przerażenie. Nie było w nim niecierpliwości, tylko prośba i strach. I Hernando pobiegł — pierwszy raz się spieszył, gdy go prosili o to przejeżdżający, bo dawniej zawsze w takim przypadku zwalniał kroku.

Wrócił niosąc wodę w przykrywce od piasty. Tę przykrywkę podarowała mu wielka droga. Pewnego razu przyleciała do niego na pole — okrągła i błyszcząca, jak rzucona moneta. Samochód, od którego odpadła, pojechał dalej zupełnie nie zauważywszy, że zgubił swoje srebrne oko. Od tego czasu Hernando i jego żona używali tej przykrywki do prania i mycia — zastępowała im miskę.

Hernando uśmiechnął się.

— Bardzo dużo samochodów przejechało w ciągu tej godziny. I wszystkie w tym samym kierunku. Na północ.

Nie miał zamiaru ich zaczepiać ani obrażać, ale gdy znowu uniósł głowę zobaczył, że wszystkie dziewczęta siedziały zapłakane, a młodzieniec próbował je uspokoić — chwytał je za ramiona i potrząsał lekko, a one przykrywały głowy gazetami, drżały im usta, oczy były zamknięte, policzki blade, i wszystkie płakały — jedne głośno, inne znów cicho.

Hernando zamarł w bezruchu, trzymając w rękach przykrywkę, w której jeszcze było trochę wody.

— Ja nie chciałem nikogo obrazić, senior — usprawiedliwiał się.

— To nic, to nic — mówił kierowca.

— A co się stało, senior?

— Pan o niczym nie wie? — młodzieniec odwrócił się w jego stronę, ścisnął jedną ręką kierownicę i pochylił się do przodu. — Tak, to czegośmy się tak bardzo bali — stało się faktem dokonanym.

Chyba lepiej by było, gdyby tego nie mówił. Wszystkie dziewczęta zaczęły płakać jeszcze głośniej, przytuliły się do siebie, zapomniawszy o swoich gazetach i deszcz zaczął ściekać im

po twarzach zmieszany ze łzami.

Hernando drgnął. Wylał resztki wody do chłodnicy. Spojrzał na niebo — było czarne, groźne. Popatrzył na rzekę — wezbrała, szumiąca. Asfalt pod nogami wydał mu się twardy.

Hernando podszedł do samochodu z boku. Młodzieniec wziął go za rękę i włożył mu do niej pieniądze.

— Nie — powiedział Hernando — ja wcale nie chcę zapłaty.

— Dziękujemy panu, pan taki dobry — powiedziała jedna z dziewcząt, wciąż jeszcze płacząc. — Ach, mamo, tatusiu... ja chcę do domu... do domu...

— Ja o niczym nie wiem, senior — cicho powiedział Hernando.

— Wojna! — krzyknął młodzieniec jak do głuchego. — Oto ona, wojna atomowa, koniec świata!

— Senior, senior — mówił Hernando.

— Dziękuję panu za pomoc — powiedział kierowca. — Dziękuję!

— Do widzenia — poprzez ścianę deszczu powiedziały dziewczęta. One już nie widziały Hernanda.

A on stał i patrzył za nimi, póki stary „Ford" toczył się w dół po drodze w stronę doliny. I wreszcie zniknął ostatni samochód, i dziewczęta, i łopocące na wietrze gazety, które one trzymały nad swoimi głowami.

Długo jeszcze Hernando stał w bezruchu. Zimne strumyki deszczu spływały po jego policzkach, po palcach, po utkanych w domu spodniach. A on stał wstrzymując oddech, cały naprężony, i czekał.

Nie spuszczał oczu z drogi, ale ta była wciąż pusta. „Teraz chyba ona nieprędko ożyje, nieprędko" — pomyślał.

Deszcz przestał padać. Między chmurami ukazało się błękitne niebo. Burza rozproszyła się w ciągu dziesięciu minut, jak czyjś zepsuty oddech. Od strony zagajnika przyleciał pachnący wiatr. Słychać było jak lekko i swobodnie płynie rzeka. Krzewy były pokryte soczystą zielenią, a wszystko dokoła tchnęło świeżością. Hernando podszedł do swojej chaty i wyciągnął pług. Spojrzał na niebo — a tam wysoko już rozpalało się gorące słońce.

Żona, nie przestając mleć kukurydzy, krzyknęła:

— Co się stało, Hernando?

— Nic takiego — odparł. Wsunął pług do bruzdy i krzyknął na osła:

— No, burro!

I orząc żyzną ziemię szedł za osłem przez pole; niebo nad głową było coraz jaśniejsze, a trochę dalej płynęła głęboka rzeka.

— „Koniec świata" — przypomniał sobie nagle Hernando. — No dobrze, ale dlaczego — koniec?

Tłumaczył:
ROMAN GORZELSKI

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

Lewym okiem

KOMU WOLNO ZBIERAĆ GRZYBKI?

Nieznajomość prawa nie zwalnia — jak wiadomo — z odpowiedzialności za jego przekroczenie. Z jednym tylko zastrzeżeniem, że prawo powinno być podane do wiadomości ogólnej w sposób, przepisany jeszcze jednym prawem, bądź też w sposób „zwyczajowo przyjęty".

Jeśli na drodze, wiodącej do lasu, stoi tablica, że wstęp do tego lasu jest dozwolony tylko w środy i piątki od dziesiątej do piętnastej, a ktoś nie szedł drogą, tylko sto metrów obok i w dodatku nie miał zegarka, to oczywiście, należy go za to ukarać.

Istnieje jednak inna jeszcze zasada: nieznajomość prawa absolutnie zwalnia z odpowiedzialności za jego przekroczenie. Tak na przykład w razie wykrycia manka w magazynie, trzeba najpierw udowodnić, że magazynier znał przepisy o odpowiedzialności cywilnej za powierzone mu mienie, a dopiero potem można mieć do niego pretensje o manko. Nie wystarczy w tym wypadku, że odpowiednie przepisy zostały opublikowane nie tylko w Monitorach, ale po prostu w instrukcji danego, konkretnego magazynu. Pracownik mógł ich nie czytać.

Porównanie wydaje się zaskakujące: zwykły przechodzień nie może nie czytać tablicy na drodze wiodącej do lasu: magazynier może nie czytać dokumentu, stanowiącego alfę i omegę jego pracy zawodowej. Trzeba mu ją włożyć do ręki, przytrzymać, poprosić: podpisz pan to! Mało tego — trzeba jeszcze wykazać, że magazynier posiadał warunki na to, aby należycie zrozumieć przeczytane prawo. Inaczej mówiąc — że posiadał niezbędnie po temu wykształcenie. Pracownik fizyczny, nie posiadający cenzusu uprawniającego do wykonywania pracy umysłowej, a zatrudniony jako magazynier, nie może w zasadzie być pociągnięty do odpowiedzialności za braki i nieporządki w magazynie, choćby podpisem własnoręcznym potwierdził przyjęcie do wiadomości odpowiednich przepisów i zgodę na objęcie swej funkcji. Natomiast przechodzień w lesie może być analfabetą i tak grzybków zbierać mu nie wolno.

Jasnym jest chyba, że ta druga zasada — nakładania na człowieka obowiązków i odpowiedzialności przy jego jak najlepszym uświadomieniu, z pełnym komentarzem, uczciwie — jest o wiele bardziej humanitarna niż pierwsza. I jeszcze bardziej jasnym jest, że ta druga zasada musi pozostać wyjątkiem, rzadkim wyjątkiem od zasady pierwszej. Nie można przecież każdego przepisu, nakazu i zakazu — a rodzą się ich dzień w dzień tysiące — puszczać obiegiem przez kraj i zbierać pod nimi podpisy wszystkich obywateli. Sami prawnicy, żyjący z czytania przepisów, nie są w stanie znać ich wszystkich i zaczynają się uczyć „odnośnych" praw i obowiązków dopiero po zainkasowaniu zaliczki na prowadzenie danej sprawy. Tyle, że oni jedni wiedzą, jak się do tego zabrać.

Natomiast można by przy należytej organizacji i staranności komórek prawotwórczych (pojęcie, proszę państwa, stworzone ad hoc, ale chyba „adekwatne") rozszerzyć znacznie tereny, objęte przepisami naprawdę znanymi zainteresowanym. Myślę o zarządzeniach, rozsyłanych „drogą służbową".

Każde ministerstwo i każdy urząd centralny wydaje własny Dziennik Urzędowy lub Biuletyn, w którym ogłasza stanowione przez siebie przepisy. Przepis wchodzący w życie w styczniu jest jednak ogłoszony w maju lub w czerwcu, a często nie jest ogłoszony wcale, a obowiązuje. Po prostu ministerstwo odbija tekst na powielaczu i rozsyła „drogą służbową" wszystkim tym, którzy — w przekonaniu urzędnika, rozsyłającego kopie — powinni znać dany przepis i nie tylko do niego się stosować, ale także posługiwać się nim przy podejmowaniu ważnych nieraz decyzji.

Wystarczy, że urzędnik rozsyłający kopie, pomyli się, albo zaszyfrowany rozdzielnik będzie niejasny, albo kopia wysłana z całą paką korespondencji utonie gdzieś w szufladach i segregatorach niezliczonych kancelarii, działów, sekcji, referatów. To są zjawiska powszechne. Urzędnicy wszystkich instytucji i instancji, powszechnie urzędują bez znajomości przepisów, w najlepszej zresztą wierze, zdolni, uczciwi urzędnicy. Te same sprawy rozstrzygają różnie, albo na wszelki wypadek nie rozstrzygają wcale, tylko odsyłają wyżej. Widocznie dostali już kiedyś po palcach za nieznajomość pisma okólnego, leżącego — nie wiadomo dlaczego — piętro niżej.

Zlitujmy się nad urzędnikami! Nie zawsze są gorsi od magazynierów. Przede wszystkim — na wszystkie świętości — mniej przepisów! Nie każda konferencja musi się kończyć zarządzeniem, niech się lepiej skończy konkretnymi decyzjami. A jeśli już musi być nowy przepis, niech będzie zawsze publikowany, zawsze tym samym trybem, zawsze w tym samym miejscu, tym samym Biuletynie. I niech data takiej publikacji będzie dniem wejścia w życie aktu, żeby nikt nie musiał zgadywać, co go na dziś obowiązuje. Żeby nieznajomość prawa przez urzędnika, mogła być zarzutem, a nie oczywistym wynikiem istniejącego w tym zakresie bałaganu.

ĆWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 1944 VII 66. E- 2